Dziś w numerze: ● Ziemia Łódzka a poprawa Rzeczypospolitej ● Kombinat myśli technicznej ● Kulisy obcego wywiadu w NRF ● Z całą pewnością... ● Koncert na surmy narodowe ● Opowieść o prawdziwej przyjaźni ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy

Nr 50 (412)
18. XII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

W. Chwiłkowska (Salomea) i E. Kamiński (Semenko) w sztuce J. Słowackiego „Sen srebrny Salomei". Fot. A. Brustman

EWA SIEMIŃSKA

IMMUNOLOGIA

Istniał kiedyś tytuł naukowy, który dzisiaj wydaje się wprost legendarny: doktor wszech nauk. Dziś, kiedy rzeczywistość spełnia to, co przedtem jedynie bujna wyobraźnia wymarzyć mogła, czasy ludzi orientujących się we wszystkich dziedzinach nauki, minęły bezpowrotnie. Lekarz, fizyk, chemik niewiele czasu mogą poświęcić literaturze i sztuce. Z kolei humanista tylko z nazwy zna większość odkryć i procesów zachodzących w naukach ścisłych. Przeciętny śmiertelnik często nawet i samych tych nazw nie zn... lub nie rozumie, co oznaczają. Dl... większości ludzi tak właśnie tajem... niczo brzmi słowo: immunologia.

Dwa lata temu powstał we Francji film „W głąb ciała", nakręcony w ten sposób, że miniaturową kamerę wprowadzono jak sondę do przewodu pokarmowego człowieka. Na ekranie ukazało się żywe, pracujące serce ludzkie, opiewane tylekroć przez poetów. Krew pulsuje, serce kurczy się i rozkurcza rytmicznie, a widz patrzy oniemiały i wstrząśnięty. Obserwuje jedną z tajemnic życia. Pierwsze wrażenie jest szokiem, kto wie czy nie większym, niż spacerowanie kosmonauty poza kabiną. Tajemnica życia frapuje i zawsze frapować będzie człowieka. Wynika to z jego natury, z najbardziej potężnego instynktu, któremu podlega wraz z całą żywą przyrodą: instynktu zachowania się przy życiu.

Fizyka atomowa zrewolucjonizowała całą naszą wiedzę o wszechświecie. Tym, czym była atomistyka dla wiedzy o materii, tym dla nauk o żywych organizmach, dla nauk

Dalszy ciąg na str. 3

Z Arturem Sandauerem rozmowa o krytyce literackiej

Siedzimy w warszawskim mieszkaniu Artura Sandauera przy ulicy Iwickiej 8. Rozmowa toczy się w gabinecie pisarza. Jedną ścianę gabinetu zajmują półki z książkami, przy drugiej ścianie stoi biurko, na nim maszyna do pisania, po lewej znajduje się tapczan, fotele i mały stolik do kawy. Właśnie pijemy kawę, zagryzając faworkami. W pewnej chwili rzucam pytanie: „Co powinno być zadaniem krytyki literackiej? Czego należy wymagać od krytyka?" Artur Sandauer odpowiada:

— Pierwszym obowiązkiem winno być odwrócenie krytyki twarzą do publiczności. Odtworzenie zniszczonego modelu krytyka-pisarza. Aby być dobrym krytykiem, trzeba nie tylko mieć przygotowanie, coś wiedzieć i coś umieć. Trzeba przede wszystkim być czymś, czyli po prostu mieć coś do powiedzenia. Trzeba odbudować to, co zostało zniszczone w okresie minionym: żeby krytyka nauczyła się dostrzegać za pisarzem człowieka. Mówiło się, że człowiek nie ma znaczenia, znaczenie mają grupy. Ale przecież grupy składają się z ludzi. U nas natomiast zamiast grup mamy mity.

Wtrącam zdanie: „Ale przecież literatura nie może obejść się bez mitologii".

ARTUR SANDAUER:

— Literatura beletrystyczna tak, ale krytyka winna burzyć mity, zwłaszcza fałszywe. Krytyka winna przede wszystkim widzieć pisarza na tle jego dzieła, a nie poza nim. Każdy autor pragnie w swoim utworze wyrazić siebie, swoje uczucia. A tymczasem przychodzi krytyk i mówi: co mnie to obchodzi. Krytyka rzuca nazwiskami, których dobrze nie zna, cytatami, których nie rozumie i które jakże często pochodzą z drugiej lub nawet trzeciej ręki.

Następuje moment, w którym rozmowa schodzi na sprawę języka krytycznego, na sprawę pewnego żargonu, jaki krytyka polska stworzyła.

ARTUR SANDAUER:

— Zastanawiam się nieraz, skąd to zamiłowanie do mętniactwa, w dodatku pozbawionego pedantyczności niemieckiej. Mętniactwa bez wdzięku. Mówi się, że literatura jest wyrazem ducha narodowego. Jakże więc jest z tym u nas? Język polski jest chłopski, konkretny i obrazowy. Ale ten język właśnie nie znajduje odbicia w literaturze i zwłaszcza w krytyce. Panoszy się język abstrakcyjny, obcy duchowi języka polskiego.

Znowu chwila przerwy. Wpadam w nią z następującym pytaniem: „Sytuację więc w naszej polskiej krytyce współczesnej ocenia pan jako niezadowalającą?"

ARTUR SANDAUER:

— Stan obecny krytyki oceniam źle. Popada ona ze skrajności w skrajność. Panoszy się u nas krytyka publicystyczna, której nie jestem zwolennikiem. Publicystyka zajmuje się załatwianiem szerszych społecznych badań, nie jest to więc krytyka literacka. Boy uprawiał publicystykę krytyczną, gonił za anegdotą, nicował twórcę poza jego dziełem. Ale Boy był pisarzem i robił to z talentem. Dziś próbuje iść w jego ślady Jan Kott, pisarz bez kwestii utalentowany, choć nie tego kalibru co Boy.

Stawiam nowe pytanie: „O ile wiem,

Dalszy ciąg na str. 7

ze ŚWIATA

W EUROPIE najważniejszym zadaniem jest rozładowanie napięcia między krajami. Przykład współpracy, jaka kształtuje się i rozwija między ZSRR i Francją może być tutaj dobrym wzorem.

W AZJI ustanowieniu trwałych, pokojowych stosunków przeszkadza wojna wietnamska. Obie strony wyrażają swe ubolewanie w związku z poważną sytuacją, jaka wynikła z obcej interwencji.

W toku rozmów przedyskutowano PROBLEM ROZBROJENIA, stwierdzając jego doniosłe znaczenie nie tylko w aspekcie nierozpowszechniania broni nuklearnej, lecz również zakazu jej produkcji oraz zlikwidowania istniejących zapasów, podkreślono konieczność zapewnienia UNIWERSALNOŚCI ONZ oraz omówiono sprawę zwołania w przyszłości EUROPEJSKIEJ KONFERENCJI na temat bezpieczeństwa narodów.

STOSUNKI BILATERALNE rozwijają się szybko. Postanowienia deklaracji z 30 czerwca realizowane są pomyślnie. W toku rozmów paryskich osiągnięto porozumienie co do utworzenia mieszanej radziecko-francuskiej Izby Handlowej oraz zawarto konwencję konsularną. Potwierdzono oficjalne wizyty L. Breżniewa i N. Podgornego we Francji oraz wystosowano, przyjęte przez premiera Pompidou jego zaproszenie do Związku Radzieckiego.

Tak najlapidarniej można omówić francusko-radziecki komunikat, wieńczący 9-dniową wizytę premiera Kosygina i towarzyszących mu osób we Francji. Już z tego, co powiedziano powyżej, wynika, że następstwem tej wizyty jest poważne wzajemne zbliżenie, oparte na zgodności poglądów w wielu kwestiach międzynarodowych i potrzebie kształtowania podstaw współdziałania krajów europejskich. Dokument jest bardzo obszerny i z pewnością przez wiele tygodni będzie tematem licznych rozważań i komentarzy. „Paris Jour" nazywa go „prawdziwym katalogiem podstawowych problemów sytuacji międzynarodowej, podkreślającym punkty, co do których oba kraje stwierdziły zbieżność poglądów". Komentatorzy zauważają, że pełnię znaczenia komunikatu można jednak zrozumieć dopiero wówczas, gdy umieszcza się go w kontekście obecnej sytuacji międzynarodowej. Tę ostatnią, za sprawą ingerencji USA w Wietnamie, znamionuje bowiem eskalacja wojny, podczas gdy rozmowy paryskie przynoszą eskalację pokoju.

Nawet jednak najuważniejsze przestudiowanie wspólnego komunikatu nie może oddać tego, co dla rozmów paryskich było bardzo ważne i charakterystyczne — wielkiej serdeczności i okazywania nieomal wyjątkowości ich znaczenia. „Niepowtarzalnym gestem" ze strony de Gaulle'a wobec wysokiego gościa radzieckiego nazywa prasa zachodnia fakt, że prezydent Francji odstępując od swych zasad, przyjął zaproszenie ZSRR i po raz pierwszy udał się do ambasady jakiegokolwiek państwa w Paryżu. Agencje zachodnie przypominają w związku z tym, że od chwili swego powrotu do władzy, a więc od 1958 roku, de Gaulle ani razu nie przybył na żadne przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej, ani też nie przyjął zaproszenia na spotkanie w ambasadzie radzieckiej w 1960 roku, podczas wizyty tam Chruszczowa.

To nieoczekiwane dla obserwatorów wydarzenie jest w ich przekonaniu najlepszą ilustracją słów de Gaulle'a, który o Związku Radzieckim w dniu 1 bm. mówił jako o „przyjacielu i partnerze Francji".

I jeszcze jedna uwaga. Rozwijająca się współpraca francusko-radziecka ma wszelkie znamiona stałego współdziałania. Mówił o tym przed kamerami paryskiej TV premier Kosygin, stwierdzając:

„Zbliżenie między naszymi krajami nie nosi jakiegoś tymczasowego charakteru, nie jest wynikiem jakichś tymczasowych subiektywnych czynników. Jest to zdecydowana polityka, oparta na zrozumieniu znaczenia stosunków francusko-radzieckich dla bezpieczeństwa obu krajów, dla umocnienia bezpieczeństwa europejskiego i międzynarodowego".

Zainteresowanie opinii światowej poza rozmowami paryskimi koncentruje się w dalszym ciągu na NRF i Wietnamie.

W pierwszym wypadku chodzi o deklarację nowego rządu, która pozwoli zorientować się co do kierunku polityki zagranicznej i wewnętrznej, w drugim — o zapowiedziane zawieszenie broni na okres świąteczny.

Stany Zjednoczone — jak wydaje się — znajdą się pod silnym naciskiem, aby po przerwie świątecznej nie wznawiać bombardowania DRW. O przekształcenie zapowiedzianej krótkiej pauzy w dłuższy rozejm umożliwiający podjęcie pokojowych rokowań, zaapelował ostatnio także papież Paweł VI. Waszyngton zareagował na to wezwanie dość ostrożnie, obiecując staranne jego zbadanie, choć powszechnie wiadomo, że do propozycji odnosi się krytycznie. Funkcjonariusze amerykańskiej administracji przeciwni są bowiem deeskalacji działań wojennych. Tymczasem, bez spełnienia tego warunku nie istnieje możliwość nawiązania pertraktacji.

Warto przypomnieć Czytelnikom, że w ubiegłym roku Stany Zjednoczone zmuszone zostały przez opinię publiczną do przedłużenia „świątecznej ciszy" na okres 37 dni, którego nie wykorzystały jednak do nawiązania kontaktu z drugą stroną. Nie rokuje to większych nadziei i tym razem. *W. SŁAWSKI*

Kronika TYGODNIA

■ Władze wojskowe NRF wydały zarządzenie zawieszające wszystkie loty i ćwiczenia w jednostkach lotniczych wyposażonych w amerykańskie samoloty „Starfighter". Jak wiadomo od roku 1961 w NRF katastrofie uległo 65 samolotów tego typu, przy czym 37 pilotów poniosło śmierć.

■ Koszty utrzymania w Jugosławii w listopadzie br. zwiększyły się w porównaniu z październikiem o 2 proc. Przeciętny wzrost cen artykułów żywnościowych w listopadzie wyniósł 3,4 proc. Masło podrożało w tym czasie od 6—12 proc., pieczywo prawie o 10 proc., a niektóre wyroby mięsne o 28 proc.

■ **Amerykanie muszą płacić wysoką cenę za intensyfikację wojny powietrznej nad Wietnamem północnym — pisze korespondent DPA — jedynie w ciągu kilku dni stracili oni 8 bombowców, których wartość wynosi około 20 milionów dolarów. Stracili ponadto załogi samolotów.**

■ Sowiecka Kultura: „Jak podaje w Hongkongu „Far Eastern Economic Review" znana solistka opery klasycznej, Hung Sian-nin, popełniła samobójstwo rzucając się z szóstego piętra. Akt samobójczy poprzedziła nagonka „czerwonogwardzistów" na artystkę".

■ Na rynku pracy w NRF pojawiły się zjawiska wskazujące na gwałtowne kurczenie się liczby wolnych miejsc w fabrykach i zakładach pracy oraz wzrost liczby bezrobotnych.

■ **W Pekinie podano, iż w skład armii narodowo-wyzwoleńczej wcielona została opera nr 1 w Pekinie, narodowy teatr, opera, filharmonia pekińska oraz zespół taneczny i orkiestra centralnego zespołu pieśni i tańca. Komentatorzy prasowi stwierdzają, iż fakt ten oznacza, że „Lin Piao i armia osiągnęły nowe, decydujące zwycięstwo nad elementami partyjnymi i wrogami klasowymi stawiającymi opór ideologii Mao".**

■ Eisenhower wypowiedział się za wydatnym zmniejszeniem liczebności amerykańskich sił zbrojnych w Europie, z obecnych 6 dywizji do dwóch.

■ W bieżącym roku rolnictwo węgierskie osiągnęło zbiory o największej w dotychczasowej historii kraju wartości. Ogółem wartość ta jest o 5—6 proc. większa niż osiągnięta w roku ubiegłym.

■ W ciągu ostatnich 5 lat Stany Zjednoczone sprzedały za granicę broń na łączną sumę przeszło 10 miliardów dolarów. Wpływy z tego tytułu pokrywają blisko 50 proc. amerykańskich wydatków wojskowych za granicą.

■ **Podczas rozmowy premiera Kosygina z dziennikarzami w Lionie zapytano radzieckiego męża stanu, czy widzi on możliwość uzgodnienia interesów Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Premier ZSRR odrzekł: „Nie może być mowy o uzgodnieniu interesów, kiedy jedna ze stron narusza te interesy i obrzuca bombami bratni naród wietnamski". Na zapytanie czy zamierza odwiedzić Niemcy zachodnie, premier Kosygin odpowiedział, że nie widzi żadnego powodu by tam się udać. „Nie chcę jechać do Niemiec zachodnich jako turysta" — dodał on. Agencja AFP w relacji lionskiego etapu podróży premiera Kosygina pisze: „Wszędzie gościa witano spontanicznie". Robotnicy wysoko ocenili jego bezpośredniość, skromność i wyraźną kompetencję w sprawach najbardziej nowoczesnej techniki. Wielokrotnie wyrażał on swą wolę wykorzystania wizyty we Francji dla zacieśnienia współpracy naukowej i technicznej między obu krajami.**

■ Członek senackiej komisji spraw zagranicznych i komisji energii atomowej George Aiken oświadczył w wywiadzie prasowym, że zdaniem jego, Chiny będą mogły zapewne w niedługim czasie wyprodukować bombę wodorową, nie sądzi on jednak, aby Chińczycy „ośmielili się" użyć tej broni przeciwko Stanom Zjednoczonym.

■ **Dymisja złożona w Zgromadzeniu Republikańskim Słowenii przez rząd tej republiki stała się sensacją życia politycznego Jugosławii. Przyczyną dymisji było niezaakceptowanie przez parlament republikański projektu rządowego, dotyczącego zmniejszenia opodatkowania przemysłu na rzecz ubezpieczeń społecznych z 7 na 6 proc. W komentarzach na temat decyzji rządu Słowenii stwierdza się, iż jest to wydarzenie bez precedensu w historii socjalistycznej Jugosławii, i że jest ono całkowicie zgodne z normami socjalistycznej demokracji.**

■ Agencje zachodnie zwracają uwagę na fakt, że w filmie wyświetlonym przez telewizję ZSRR w dniu 6 grudnia, a więc w 25 rocznicę bitwy o Moskwę, zmontowanym z dawnych kronik filmowych pokazano na szklanym ekranie przez 75 sekund Stalina. Czytał on swoje słynne orędzie do narodu w dniu 7 listopada 1941 roku podczas defilady wojskowej. Na wystawie zaś dzieł sztuki, których treść dotyczy tych lat wystawiono obraz Stalina przyjmującego defiladę na Placu Czerwonym.

■ New York Times: Rząd USA przyłapany został na podsłuchiwaniu rozmów telefonicznych ambasady Republiki Dominikańskiej w Waszyngtonie. Z udzielonych wyjaśnień na ten temat wynika, że postępowano tak „ze względu na bezpieczeństwo kraju".

■ **„Czerwonogwardziści" chińscy o nauce w wypowiedziach wobec korespondentów zagranicznych: „Musimy się uczyć... Lecz konieczna jest pełna reforma programu... System oświaty musi zostać trwale połączony z systemem produkcji. Przyszłość naszego szkolnictwa to szkoły pracy i nauki. Z pomocą tych szkół zostanie ostatecznie zatarta różnica między pracownikami umysłowymi i fizycznymi. Zamknie się tym samym drogę dla wszelkich tendencji rewizjonistycznych... Niech nikt nie sądzi, że marnujemy czas. My prowadzimy walkę klasową, a naukowcy, konstruktorzy, inżynierowie pracują nad rozwojem naszej techniki. Skonstruowaliśmy broń atomową, rakiety w znacznie krótszym czasie niż Ameryka nie i ZSRR.**

■ Z raportu szefa FBI Edgara Hoovera wynika, że w ciągu pierwszych 10 miesięcy br. przestępczość w USA wzrosła o 10 proc. w porównaniu z odpowiednim okresem roku ubiegłego. Ilość morderstw wzrosła o 8 proc., gwałtów i rabunków o 11 proc., a kradzieży samochodów o 10 proc.

■ **W Czechosłowacji na 10 tys. mieszkańców, a także na 10 tysięcy osób zdolnych do pracy przypadało więcej specjalistów z wyższym wykształceniem niż we Francji, Szwecji i niektórych innych państwach europejskich. Natomiast dobór i rozmieszczenie absolwentów wyższych uczelni jest w Czechosłowacji mniej racjonalny niż w wymienionych krajach, o czym świadczy między innymi fakt, iż w 1963 roku zaledwie 24 proc. dyrektorów legitymowało się wykształceniem wyższym.**

■ **Rzecznik prezydenta Johnsona oświadczył, że USA przychylnie rozważają propozycję papieża Pawła VI w sprawie przedłużenia rozejmu świątecznego.**

...Żeby nam później nikt nie zarzucał, że tu, w Wietnamie nie okazywaliśmy trwale naszego pragnienia pokoju.
(Sonntag)

H. Wilson: Mr. Smith, niech pan wyjdzie naprzeciw.

Nowa powieść Żukrowskiego

Ukazała się wreszcie oczekiwana książka Wojciecha Żukrowskiego. W środowisku literackim mówiło się o tej powieści od dawna, wiele sobie po niej obiecując. I oto mamy ją w rękach, czytamy, zastanawiamy się nad nią. Tytuł: „Kamienne tablice" dwa tomy (razem ponad osiemset stron druku), Wyd. MON. Powieść Żukrowskiego nie jest przeznaczona dla snobów literackich, nie chodzi w niej o nowatorskie eksperymenty formalne, tak obecnie modne, a podejmowane często ze szkodą dla treści i problematyki utworu. „Kamienne tablice" napisał autor w wypróbowanej konwencji realistycznej i dobrze zrobił, że tak właśnie uczynił. Zawsze mi się wydawało (i wydaje do tej pory), że o sprawach i problemach naszego czasu nie da się pisać aluzyjnie, symbolicznie, używając kostiumu historycznego czy tzw. mowy Ezopowej. O naszych czasach trzeba pisać wprost i choć wiemy wszyscy, że nie jest to ani łatwe, ani proste — próbować należy. Dowodem, że nie anonimowany opis rzeczywistości współczesnej zdaje najlepiej egzamin, jest „Miazga" Jerzego Andrzejewskiego. Świadczą o tym również „Kamienne tablice".

Akcja „Kamiennych tablic" dzieje się w stolicy Indii — New Delhi, a jej bohaterem — młody dyplomata węgierski, poeta Istvan Terey. Czas powieści: lata 1955—56, lecz w partiach retrospektywnych, cofa się narrator w lata wcześniejsze. Sceneria New Delhi, życie i obyczaje Hindusów dodają powieści barw egzotycznych, dobrze przez takiego majstra jak Żukrowski, który sam przecież przebywał tam na placówce dyplomatycznej, podpatrzonych i opisanych.

W roku 1956 zaczynają napływać wiadomości z Budapesztu o zwalnianiu uwięzionych, o rehabilitacji Rajka, o ustąpieniu Rakosiego, a w końcu o wybuchu powstania. Ambasada węgierska staje się zdezorientowaną, samotną wyspą, wiadomości napływają sprzeczne, krzyżują się nadzieje i obawy, ludzie boją się ujawnić, co myślą, każdy stosuje jakąś grę: jeden kluczy, inny gra na przeczekanie, jeszcze inny — milczy. Tylko Istvan Terey nie kryje się ze swoimi myślami. Nie zbywa mu na odwadze, ale i on nie ma jasnego obrazu wydarzeń, wikła się i plącze, raz jest za powstańcami, raz przeciwko nim. Jest w nim coś z Grigoryja Melechowa, coś z doktora Żiwago. Żukrowski celnie charakteryzuje jego tragiczne osamotnienie: „...zapalonymi austinami śpiewała ciepła noc indyjska. W niej błąkał się on, Istvan Terey, drobina Węgier zagubiona na azjatyckim kontynencie".

Więc „Kamienne tablice" to powieść polityczna? Tak, ale nie tylko. Jest to także powieść o wielkiej miłości. Istvan Terey ma żonę i dwoje dzieci, ale pozostali oni w Budapeszcie. Nie zdołał ich sprowadzić do New Delhi, nim się to wszystko stało. Tymczasem na jego drodze pojawiła się Australijka, lekarz-okulista, panna Margit, która przyjechała, w ramach umowy z UNESCO, do Agry leczyć chorych na jaglicę Hindusów. Spotkali się oboje i pokochali gorącą niepohamowaną miłością. Dla Margit gotów jest Istvan Terey zrobić wszystko, zdobyć się na każdy czyn i każdą ofiarę. Ale powstanie węgierskie wstrząsnęło nim do tego stopnia, że w jego tragicznym świetle przygasa nawet ta wielka płomienna miłość dwojga ludzi.

Zresztą wokół Istvana Tereya zaczyna się zamykać koło nieufności. W ambasadzie jest obserwowany przez pracowników, nie podobają im się jego kontakty z cudzoziemcami, szczególnie z tą Australijką, i oto nadchodzi z kraju — nie bez zabiegów samego ambasadora — odwołanie. A więc powieść o zagadnieniu zaufania, albo też o problemie nieufności? Miłość i polityka, polityka i miłość — to nie mogło skończyć się inaczej.

Bogata jest ta nowa powieść Wojciecha Żukrowskiego. Bogata w niej galeria postaci i nanizanych wątków, ostro narysowane konflikty, śmiałe wynurzenia bohaterów. O stylu Żukrowskiego dałoby się powiedzieć wiele dobrego. Sensualistyczna, zmysłowa wyobraźnia czyni jego styl krwistym, dorodnym, chciałoby się rzec — sarmackim. Ale styl ten ma także zaprzysięgłych przeciwników. Że niby rozchwiany, nieprecyzyjny, niosący z sobą nieuchronną wylewność, że tak się już dzisiaj nie pisze, itd., itp. A mnie się po prostu wydaje że nie ma stylów modnych i niemodnych. To trochę tak jak w teatrze: wszystko zależy od tego, co do czego pasuje. Każdy styl może okazać się dobry, jeśli dobrze służy dziełu. Myślę, że w tym wypadku mamy do czynienia z utworem pisarskim dużej rangi, choć nie wolnym od dłużyzn i miejsc słabszych. Dotyczy to przede wszystkim niektórych scen miłosnych (ocierają się one o melodramat) i dialogów politycznych, grzeszących jednak od czasu do czasu tautologią.

Ale nikt, kto książkę tę weźmie do ręki i przeczyta ją, nie pożałuje poświęconego na lekturę czasu. W literaturze polskiej już od lat nie mieliśmy książki, poruszającej w sposób tak istotny i z takim zaangażowaniem podstawowe problemy polityczno-moralne naszej epoki.

JAN KOPROWSKI

IMMUNOLOGIA

Dalszy ciąg ze str. 1

przyrodniczych jest mikrobiologia. Wirusy, bakterie, niektóre grzyby, pierwotniaki są nie lada aktorami w dramacie życia człowieka. Niektóre z nich to jego sprzymierzeńcy, inne — śmiertelni wrogowie, zagrażający ludzkiemu życiu. Uczony badający takie mikroustroje ma w sobie coś z detektywa: musi np. w wypadku zakaźnej choroby zbadać dokładnie wszystkie okoliczności, w których choroba ta wybuchła i rozprzestrzeniła się, musi znać cały jej przebieg (zewnętrzne objawy choroby są tylko poszlakami, które pozwalają w pewnej mierze rekonstruować jej istotę), musi „przesłuchać" wszystkich zainteresowanych, a więc zbadać funkcjonowanie różnych organów i przebieg rozmaitych procesów fizjologicznych i chemicznych w organizmie chorego człowieka lub zwierzęcia. Uczony jest równocześnie sędzią — to on wydaje wyrok, kiedy zakończy swoje naukowe „śledztwo". Jest także prawodawcą, kiedy formułuje uogólnienia swych badań mówiące o prawidłowościach pewnych procesów i odstępstwach od normy. I wreszcie — nie zawsze uświadamiając to sobie — jest filozofem, który poszukuje prawdy o otaczającym go świecie. Takim właśnie ludziom zawdzięcza nauka swe wspaniałe osiągnięcia, to oni sprawili, że wiek XX jest wiekiem nauki.

Coraz częściej nauka staje się dawcą życia i śmierci ludzkiej istoty lub milionów istot. Nie tylko poprzez stwarzanie podstaw do konstrukcji coraz to groźniejszych i bardziej wyrafinowanych rodzajów broni i sposobów ochrony przed nimi, lecz także poprzez poznawanie procesów chorobowych i ingerencję człowieka zmierzającą do zwalczenia ich. W kręgu tych zagadnień porusza się właśnie immunologia, jedna z dziedzin mikrobiologii (łacińskie „immunis" — wolny od obciążeń i greckie „logos" — słowo, nauka). Immunologa interesuje więc, jak ustroje (organizmy) reagują na wirusy, substancje chemiczne lub toksyny. Toksyny są to jady bakteryjne, czyli produkty białkowe wytwarzane przez bakterie; ilość toksyny decyduje o szkodliwości zarazka. Jeśli jad wydalany jest na zewnątrz, nosi nazwę egzotoksyny, jeśli zawarty jest w komórce bakteryjnej — endotoksyny. I tak np. uczeni stwierdzili, że endotoksyny (między innymi endotoksyna pałeczek duru brzusznego) są jadami stosunkowo słabymi. Natomiast egzotoksyny działają trująco nawet w minimalnych dawkach (np. egzotoksyny: czerwonkowa, tężcowa, błonicza). Najsilniejsza z dotąd poznanych egzotoksyn jest jad kiełbasiany — nazwa jego wywodzi się stąd, że występuje on między innymi w zepsutych wędlinach. Zatrucie nim objawia się w 18—36 godzin po spożyciu pokarmu osłabieniem, bólami i zawrotami głowy, zaburzeniami wzroku, trudnościami w połykaniu, porażeniem mięśni. Wystarczy 10 dkg jadu kiełbasianego, żeby zatruć śmiertelnie wszystkich ludzi zamieszkujących kulę ziemską. Jeden jego miligram zabija 220 milionów myszy.

Ze względu na samą genezę (nie mechanizm!) zjawisk odpornościowych, można wyróżnić wśród nich dwie zasadnicze grupy: 1) zjawiska powstające w wyniku samoobrony organizmu; 2) wywoływane sztucznie przy pomocy surowic i szczepionek.

* * *

O HISTORII IMMUNOLOGII MÓWI PROF. DR BERNARD ZABŁOCKI

„Immunologia klasyczna jako wiedza o odporności w chorobach zakaźnych, zjawiła się na horyzoncie nauki w II połowie XIX wieku, niemal jednocześnie z wykryciem zarazków chorobotwórczych przez Pasteura i Kocha. Jednakże początków immunologii można dopatrzeć się w starożytności. Jest to częste zjawisko, że rozwój nauki poprzedzają spostrzeżenia i wierzenia ludowe. Już starożytni spostrzegali niektóre zjawiska immunologiczne (odpornościowe) i potrafili wyciągnąć z ich obserwacji praktyczne wnioski. Np. do pielęgnacji chorych i do grzebania zwłok brano żołnierzy, którzy przebyli daną chorobę (wojna peloponeska — 431—404 p.n.e.). Zdawano sobie sprawę, że przebycie choroby pozostawia po sobie odporność. Mitrydates próbował uodpornić się przeciwko różnym jadom w obawie przed podstępnym otruciem.

Bardziej pouczająca i ciekawa jest historia szczepień przeciwko ospie. Na Dalekim Wschodzie już przed setkami lat próbowano chronić ludzi przed ospą, za pomocą wdmuchiwania do nosa rozdrabnianych strupów ospowych (chińska metoda zapobiegania ospie). W Indiach bramini przykładali wydzielinę z krost ospowych do natartej skóry. W Gruzji wkłuwano ludziom igły zmoczone ropą ospową. Wszystkie te sposoby zapobiegania ospie miały na celu wywołanie choroby o lekkim przebiegu, aby uzyskać odporność. Metoda ta, zwana wariolizacją, dotarła do Europy w XVII wieku dzięki Lady Montague, żonie posła angielskiego w Konstantynopolu. Metoda ta nie nadawała się jednak do powszechnego wprowadzenia, gdyż kryła w sobie dwa niebezpieczeństwa: a) możliwość ciężkiego, śmiertelnego zachorowania, b) szerzenie zarazy przez osoby szczepione żywym zarazkiem ospy naturalnej. Bezpieczny sposób szczepienia przeciw ospie wykrył wiejski lekarz angielski Jenner w XVIII w. Podpatrzył on ciekawe zjawisko, że osoby, u których na rękach można było stwierdzić ślady przebytej ospy krowiej (powstałej przez zakażenie się w czasie dojenia chorych krów) nigdy nie chorowały na ospę naturalną. Po wieloletnich obserwacjach Jenner odważył się w roku 1796 wykonać następujący eksperyment: zaszczepił on chłopcu treść krosty ospowej, która powstała u jednej z wieśniaczek. Po 6 tygodniach zakażenie chłopca materiałem zawierającym zarazek ospy naturalnej nie wywołało u niego choroby. Odkrycie Jennera szczepienia „krowianką" i ustawodawcze wprowadzenie przymusowych szczepień przeciwospowych, spowodowały zanik ospy naturalnej w wielu krajach.

Jednakże wielkie empiryczne odkrycie Jennera nie przyczyniło się do postępu wiedzy o zjawiskach odpornościowych w chorobach zakaźnych, gdyż nauka o przyczynach tych chorób była w owym czasie nieznana. Dopiero Pasteur (po upływie 180 lat od odkrycia Jennera — już w okresie narodzin bakteriologii) świadomie podszedł do rozwiązania zagadnienia sztucznego uodpornienia przeciwko chorobom zakaźnym. Pomógł mu przypadek. Ale „przypadek — mówił Pasteur — przychodzi z pomocą temu, kto nieustannie szuka prawdy". Hodowla zarazka cholery kur, przypadkowo pozostawiona przez Pasteura w cieplarce na okres wakacji, straciła właściwości chorobotwórcze. Wstrzyknięta kurom nie powodowała ich śmierci, ale przeciwnie — wywoływała u nich niewrażliwość w stosunku do żywego w pełni zjadliwego zarazka cholery kur. „Osłabienie" zarazka cholery kur uzyskane przez dłuższe przetrzymywanie hodowli w cieplarce stanowiło punkt zwrotny nie tylko w historii medycyny, ale i w historii kultury. Pasteur zrozumiał, że ma do czynienia ze zjawiskiem, które może zaważyć na losach ludzkości, że ma w rękach sposób ujarzmienia zarazków chorobotwórczych i wykorzystania go w profilaktyce chorób zakaźnych. Metoda osłabienia zjadliwości zarazka (tak zwana atenuacja) została wykorzystana do otrzymania najbardziej skutecznych szczepionek. Dalszymi szczepionkami otrzymanymi przez samego Pasteura swoim sposobem, były szczepionki przeciw wąglikowi, różycy świń i wściekliźnie. Nowoczesna preparatyka wielu szczepionek przeciw chorobom wywołanym przez bakterie i wirusy (jak np. przeciwgruźlicza BCG, przeciwdżumowa, przeciw chorobie Heine-Medina, przeciw żółtej febrze, przeciw odrze itp.) oparta jest na podstawach wskazanych przez Pasteura. Stosowanie szczepionek żywych (zawierających zarazek o obniżonej zjadliwości lub sporządzonej z odmian niezjadliwych) powoduje powstanie odporności o dużym natężeniu. Jest rzeczą zrozumiałą, że sztucznie wywołane osłabienie wrażliwości zarazka powinno być procesem nieodwracalnym.

Poza szczepionkami przygotowanymi wyżej opisanymi metodami, mamy także szczepionki zawierające zarazki zabite (łagodnym ogrzewaniem lub przez dodanie do zawiesiny bakterii lub wirusów substancji takich jak fenol, formalina itp.), np. szczepionki przeciw durowi brzusznemu, durowi plamistemu, krztuścowi, grypie itp.

Jest jeszcze jeden rodzaj szczepionek, otrzymywanie których polega na zupełnie innej zasadzie. Są to tzw. szczepionki „chemiczne", które zawierają wyciągi z komórek bakteryjnych lub ich metabolity (metaboliza = przemiana materii) wyhodowane w specjalnych warunkach. Tym sposobem uzyskano w latach dwudziestych—trzydziestych obecnego stulecia niezwykle skuteczne szczepionki przeciwko błonicy, tężcowi, zgorzeli gazowej i zatruciu jadem kiełbasianym. Wywołują one odporność przeciwjadową i działają zapobiegawczo w chorobach, gdzie głównym objawem jest groźne zatrucie ustroju jadami bakterii. Powszechne szczepienia przeciwbłonicze prowadzone w latach czterdziestych—pięćdziesiątych spowodowały zniknięcie dyfterytu, choroby, która w przeszłości pochłonęła tyle ofiar ludzkich".

* * *

Historia immunologii — nauki bardzo młodej — jest oczywiście nadal otwarta. Czeka na nowych badaczy i odkrywców. Mimo swej młodości jest jednak już dziś nauka niesłychanie zróżnicowana. Poszczególne jej działy zajmują się:

1) szczepieniami ochronnymi (wakcynoprofilaktyka);

2) leczeniem chorób zakaźnych za pomocą surowic odpornościowych (seroterapia);

3) mechanizmami obronnymi ustroju;

4) grupami krwi;

5) odczynami immunologicznymi szkodliwymi dla ustroju (immunopatologia);

6) przeszczepami (np. skóry lub jakiegoś narządu).

Jest jeszcze wiele innych działów immunologii, np. immunologia nowotworów, kosmiczna, choroby popromiennej, immunochemia itp.

A przecież istnieją powszechne zjawiska, z którymi wiedza o zjawiskach odpornościowych nie umie się do dziś uporać. I tak np. nie ma dotąd skutecznej szczepionki przeciwko grypie — chorobie tak pospolitej i tak trudnej zarazem do opanowania, bo wywoływanej przez różne typy wirusów. I wcale nie takiej niewinnej, jakby mogło się wydawać. Szalejąca w 1918 roku „hiszpanka" pochłonęła w Europie 20 milionów ofiar. Straszne to żniwo choroby i śmierci. A szerząca się prawie 10 lat temu grypa „azjatycka", która wybuchła w Chinach i stamtąd objęła cały świat — też miała bardzo niebezpieczny przebieg.

Immunologia jest wiedzą empiryczną — opartą na doświadczeniu. I to stanowi jej dodatkowe trudność. Jeśli np. na jakąś chorobę zakaźną chorują oprócz ludzi zwierzęta, to można na nich przeprowadzać doświadczenia. Jeśli jednak choruje na nią tylko człowiek (np. dur brzuszny, rzeżączka), to eksperymentować można tylko na sobie samym. Immunolog ryzykował więc nieraz własnym zdrowiem, a nawet życiem, wstrzykując np. sobie zupełnie nową szczepionkę, której działanie nie zawsze da się przewidzieć. Niewątpliwymi trudnościami opóźniającymi rozwój immunologii są także czynniki natury ekonomicznej — do badań w tym zakresie potrzebna jest skomplikowana i droga aparatura i preparaty biologiczne, których minimalne ilości nieraz są bardzo kosztowne.

EWA SIEMIŃSKA

Czołową postacią polskiej immunologii jest prof. dr BERNARD ZABŁOCKI, kierownik Katedry Mikrobiologii Uniwersytetu Łódzkiego, a przez 15 lat (1951—1965) prorektor do spraw nauki naszego Uniwersytetu. Obecnie — profesor zwyczajny (od 1956 roku), członek-korespondent Polskiej Akademii Nauk, tytuł magistra chemii zdobył w 1928 r. w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, tytuł lekarza w 1937 r. w Uniwersytecie Warszawskim i tam też, w dwa lata później — stopień doktora medycyny. Po wojnie, od 1945 roku pracuje w Uniwersytecie Łódzkim (a więc od chwili utworzenia uczelni). Tu habilituje się w 1947 r., a w dwa lata później zostaje profesorem nadzwyczajnym.

Prof. dr Bernard Zabłocki odznaczony został w uznaniu zasług dla nauki polskiej Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1964), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1954), Medalem X-lecia Polski Ludowej (1955) i Honorową Odznaką m. Łodzi (1961). Profesor Zabłocki ogłosił drukiem do chwili obecnej 161 prac naukowych, w tym 6 skryptów i 4 książki. Wśród nich — „Zarys immunologii" (1959), „Bakterie i wirusy chorobotwórcze człowieka" (1966). Ale najbardziej wybitną, jedyną — jak dotąd — w świecie pozycją, jest książka monograficzna „Teoretyczne podstawy immunopatologii" (1963). To właśnie za nią otrzymał prof. Zabłocki nagrodę naukową I stopnia.

Prof. dr Bernard Zabłocki to nie tylko uczony i pełen poświęcenia organizator (prorektorstwo, kierownictwo Katedry). To także oddany i niestrudzony dydaktyk. Katedra, którą kieruje, wychowała do dzisiaj 328 magistrów w zakresie mikrobiologii, 31 doktorów i 3 docentów (zresztą własnych pracowników; w najbliższym czasie liczba ta wzrośnie do pięciu). A jakże olbrzymiej pracy wymagało napisanie dla studentów owych 6 wydrukowanych skryptów i 4 książek. Do pięknych osiągnięć w zakresie własnych prac naukowych profesor Zabłocki dodał więc sukces niesłychanie wielkiej wagi: stworzył własną szkołę naukową. W uznaniu zasług dydaktycznych i naukowych Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego dwukrotnie nagrodziło prof. Zabłockiego nagrodami I stopnia: w 1963 i w 1964 roku i nagrodą naukową m. Łodzi.

Wyniki badań naukowych prof. dr B. Zabłockiego znane są szeroko i cenione przez mikrobiologów za granicą. Profesor sam zresztą dużo jeździł: dwukrotnie był w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Związku Radzieckim i na Węgrzech; raz w Kanadzie i Szwecji, cztery razy we Francji. Reprezentuje polską immunologię na spotkaniach i konferencjach międzynarodowych, w zagranicznych ośrodkach naukowych.

ZOFIA LIBISZOWSKA

ZIEMIA ŁÓDZKA a poprawa Rzeczypospolitej

ODWILŻ W XVI WIEKU

Niespokojne, pełne fermentu było w Polsce szesnaste stulecie. Nie przez szczęk oręża i wojenne zmagania, ale przez gwałtowne, namiętne spory, przez walki i przemiany, które rodziły się w rwących nurtach myśli renesansowej, ogarniały umysły i serca, rwały tamy i zapory umocnione przez dawne pokolenia.

Ludzie renesansu tworzyli nowe wartości, nowe ideały, nową koncepcję człowieka, a co za tym idzie, domagali się reorganizacji państwa, kościoła, szkolnictwa, demokratyzacji życia politycznego i struktury organizacyjnej kościoła; żądali tolerancji dla wzlotów ludzkiej myśli i praw osób świeckich do interpretacji podstawowych zagadnień ludzkiej egzystencji. Po wielu wiekach rozchodziły się więc drogi filozofii i religii, co przyniosło nauce szereg wielkich i szybkich triumfów.

PIOTRKÓW — DLACZEGO TRYBUNALSKI?

Szczególnie bujne było w tym czasie życie polityczne. Walka o „poprawę Rzeczypospolitej" fascynuje opinię przez całe dziesięciolecia. Toczy się na kolejnych sejmach i poprzedzających je zjazdach ziemskich. Wciąga w swój wir nie tylko szlacheckich posłów, ale też światłych ludzi pióra spośród mieszczaństwa w różnych regionach kraju. Peryferyjne położenie stolicy państwa — Krakowa, zmuszało bowiem dwór królewski do ciągłych wędrówek, a domagająca się udziału w rządach i decyzjach średnia szlachta upodobała sobie Piotrków na miejsce ogólnokrajowych zjazdów. Elekcje czterech królów dokonały się w jego murach. Od czasu zaś pierwszego sejmu walnego (w 1493 roku) do Unii Lubelskiej (1569) miasto gościło i przyjmowało 38 sejmów, na które zjeżdżał również i dwór królewski. A jakże gorąca była temperatura tych obrad. Ileż namiętności wyzwoliła sprawa o Barbarę! Jak skakano sobie do oczu w wielkiej, rozpętanej batalii o egzekucję dóbr koronnych i niemniej zażartej dysputę nad stosunkiem władzy świeckiej do duchownej.

Z okazji sejmu przybywały do Piotrkowa również poselstwa zagraniczne, dyplomaci z odległych krajów. Świetne to były karty piotrkowskiego grodu. Od 1578 roku przez 214 lat był on siedzibą sądu najwyższego, tzn. trybunału koronnego dla Wielkopolski i Mazowsza. Stąd jego nazwa — Trybunalski.

Tętni życie nie tylko w Piotrkowie, ale też gwarno w S i e r a d z u, Ł ę c z y c y, W i e l u n i u i innych pomniejszych miastach dawnego województwa łęczyckiego i sieradzkiego. Sieć miejska jest tu wyjątkowo gęsta. Świadczy ona o wysokim zaludnieniu tych ziem i ich rozwoju ekonomicznym. Nasz region bowiem dzięki swemu położeniu odgrywał w XVI wieku dość poważną rolę gospodarczą w handlu krajowym i międzynarodowym. Niektóre ośrodki miejskie specjalizowały się w wyrobach znanych nie tylko w kraju, ale i za granicą. Toteż na jarmarki i doroczne targi zjeżdżali do tych miast kupcy z odległych okolic, często cudzoziemcy; wieźli atrakcyjne i luksusowe wyroby Lewantu, zostawiając z kolei u miejscowych kupców i rzemieślników złote i srebrne monety z dalekich krain. Szybko też zmieniało się oblicze naszych mieścin. Rosną wokół ich rynków murowane kamieniczki, stroine w attyki, loggie, ozdobne w sztukaterie. Dostojne „rady" i „ławy" lokują się w okazałym centralnym budynku — ratuszu. Mistrzowie dłuta, kamieniarze, złotnicy pracują na zamówienie władz miejskich i licznych indywidualnych klientów. Synowie mieszczańscy podobnie jak i młódź szlachecka, wędruje na naukę do Akademii Krakowskiej lub udaje się za granicę zwabieni sławą i rozgłosem wielkich uniwersyteckich mistrzów.

NOWE KIERUNKI WYZNANIOWE — REFORMACJA

Wraz z zamożnością i pobieranymi naukami rośnie ambicje jednostek, kształtuje się też i zarysowuje postawa społeczna wobec ideologii Reformacji. Przeszczepione z Zachodu kierunki wyznaniowe zyskiwały na naszych ziemiach licznych zwolenników, propagatorów i konstruktywnych obrońców.

Zdaniem wybitnych historyków tego ruchu, Reformacja w Polsce miała charakter przede wszystkim szlachecki. Szlachta bowiem najgłośniej wypowiadała się na sejmach, a dochowane diariusze i ustawy pozwalają odtworzyć jej rolę, uchwycić przywódców, zrekonstruować postulaty. Ale wśród pisarzy religijnych, ideologów ruchu, predykantów i ministrów dominowali przecież liczebnie przedstawiciele mieszczaństwa, a Reformacja znajdywała trwałe poparcie na tych terenach, gdzie istniała gęsta sieć silnych ośrodków miejskich. Szermierzami jej stali się powracający z zagranicznych peregrynacji wychowankowie obcych uniwersytetów, emigranci religijni, szczególnie przybyła tu w 1548 roku grupa Braci Czeskich oraz duchowieństwo niższych szczebli, rekrutujące się przeważnie z kół plebejskich. Przylgnęli do Reformacji, gdyż zapowiadała ona przebudowę feudalnej struktury kościoła, dopuszczała wiernych do czynnego udziału w życiu religijnym gminy, zapowiadała rewizję dogmatów sprzecznych z rozumem i głosiła słowo boże w języku narodowym.

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI...

Autor traktatu „O poprawie Rzeczypospolitej" Andrzej Frycz Modrzewski, wójt z Wolborza, a z kolei proboszcz w Brzezinach, był nie tylko sztandarową postacią reformy państwa, pisarzem i uczonym, ale też duszpasterzem na co dzień i sąsiadem — jako właściciel małego wójtostwa — popularnie zwanym „panem Fryczem". Modrzewski właśnie w Brzezinach tworzy w 1558 roku polemiczny utwór pt. „Obrona przyjmowania przez lud wieczerzy pańskiej bez ograniczenia, swobody zawiązywania małżeństwa przez duchownych oraz używania języka na-

Dalszy ciąg na str. 4

KOMBINAT MYŚLI TECHNICZNEJ

TERESA WOJCIECHOWSKA

Dyskretnie ukryty w głębi pasażu ul. Parkowej, w samym centrum miasta, a jednocześnie oddalony nieco od największego gwaru ulicznego. Jego smukła sylwetka, górująca nad okolicznymi domami, wita przybyszów ogromnym neonem, umieszczonym na szczycie wieżowca: „Dom Technika". We frontonie mnóstwo szkła, szklane drzwi. Na frontowej ścianie — rzeźba — dekoracja. Ludzie o bogatej wyobraźni i pogodnym usposobieniu nazywają ją „łódzką Nike", obrzydliwi malkontenci po prostu — „miotłą". Na szczęście nie muszę przyłączać się do żadnej z opinii.

Wieczorem neon rozbłyskuje światłem, rzeźba jest podświetlona reflektorem, umieszczonym na pobliskim Prezydium Rady Narodowej. Gmach otrzyma własne oświetlenie „by night", ale to sprawa przyszłości, tak samo jak cały projekt zewnętrznej dekoracji. Na razie korzysta się z 20 projektów dekoracyjnych, stosowanych okolicznościowo, zależnie od rodzaju imprezy, która odbywa się wewnątrz.

* ★ *

„Nazywam się Dom Technika. Przyszedłem na świat w Łódzkiej Rodzinie Technicznej. Jestem urzeczywistnieniem marzeń i dążeń łódzkiego środowiska technicznego".

Życiorys znalazłam w księdze pamiątkowej budowy Domu Technika, prowadzonej bardzo starannie w ciągu trzech lat jego budowy, okraszonej ładnymi zdjęciami i dowcipnym, komentarzami doprowadzonej do momentu oficjalnego otwarcia Domu. Życiorys ten można by uzupełnić jeszcze paroma danymi, których bohater niniejszego, zapewne przez wrodzoną skromność, nie uznał za stosowne umieścić.

Wiek — niewiele ponad cztery miesiące, właściwie dziecko jeszcze, metrykę wystawiono mu 20 lipca 1966 r. a więc dokładnie w trzy lata od chwili poczęcia, czyli położenia kamienia węgielnego, które miało miejsce 20 lipca 1963 r. Waga okseska wynosi 4 tysiące ton (równa się to sześciu pociągom naładowanym materiałami budowlanymi różnego rodzaju). Kubatura — 23.936 m³, wartość: 22 miliony 71 tysięcy zł. W swym wnętrzu kryje ponad 20 km przewodów elektrycznych, sieć wodociągowa wystarczyłaby dla zaopatrzenia w wodę kilkutysięcznego osiedla mieszkaniowego. 300 okien ukazuje Łódź w różnych powabach i na różnych wysokościach. Serce Domu bije na III piętrze, w gabinecie sekretarza Oddziału Wojewódzkiego NOT — p. mgr Zofii Łapot.

* ★ *

Więc udaję się do serca Domu. Pani mgr Łapot pomaga mi rozeznać się w tym ośmiopiętrowym kombinacie nauki, pracy organizacyjnej, propagandy techniki, wreszcie handlu, rozrywki i gastronomii. Wędrówkę rozpoczynamy od szczytu. Na ósmym piętrze — piękna panorama Łodzi.

Ósme piętro zajmuje Zarząd Główny Stowarzyszenia Włókienników Polskich. Na siodmym znajdują się redakcje. Ekspozytury czasopism technicznych: Przegląd Papierniczy, Przegląd Skórzany, Przegląd Włókienniczy, Technik Włókienniczy i Odzież. O tajemnicach pracy redakcyjnej nie mnie pisać, zresztą i tak każdy ma na ten temat swoje zdanie, którego łatwo nie zmieni.

Piętro szóste wraz z piętrem drugim noszą nazwę szkoleniowych. 9 sal wykładowych na obu kondygnacjach. W tej chwili odbywa się tu 30 kursów różnego typu i różnych kierunków, obejmujących 900 uczestników. Organizatorem jest Międzyzakładowy Ośrodek Doskonalenia Kadr Technicznych. Dawniej odbywały się one w kilku czy nawet kilkunastu punktach miasta. A i tu zaczyna być ciasno, i tu kursy zaczynają „rozsadzać" swoje dwa piętra i wcale nie wiadomo, czy nie trzeba będzie pomyśleć o nowych dodatkowych pomieszczeniach.

Odpowiedź na pytanie, skąd aż tak wiele kursów — daje wizyta na piętrze czwartym (na piątym mieści się Wojewódzki Klub Racjonalizacji i Techniki) i trzecim. Tu mieszczą się bowiem, obok biur oddziału wojewódzkiego NOT i Zarządu Głównego Stowarzyszenia Papierników, biura wszystkich oddziałów stowarzyszeń branżowych. Na drzwiach prowadzących do pomieszczeń IV piętra widnieją tajemnicze (tylko dla niewtajemniczonych) skróty: SITO, STOP, SITR, SEP, SITPap, itd. 16 stowarzyszeń skupiających 16 tysięcy inżynierów i techników z pionów komunikacji, budownictwa, urządzeń sanitarnych, wodno-melioracyjnych, rolników, włókienników, elektryków, leśników, spożywców, odlewników, geodetów, ogrodników, mechaników i in.

Na IV piętrze również — jeśli już pozostaniemy przy nomenklaturze anatomicznej — mieści się centrum układu nerwowego — administracja Domu. Jej kierownik p. Antoni Grabowski tylko dzięki wrodzonej gościnności przerywa na chwilę swe rozliczne zajęcia, żeby powiedzieć mi, że spraw jest rzeczywiście bardzo dużo, ale przecież to normalna rzecz i że jeśli się tyle dzieje, ile się dzieje tutaj, to nie ma mowy, żeby było inaczej. A w tej chwili to właśnie rozmawia o przeniesieniu magazynów w piwnicy, bo wprowadzić się tam musi gabinet fotograficzny, który w przyszłości przekształci się w ośrodek filmów technicznych, zastanawia się co robić z przeciekającymi oknami (nie, nie, nie wszystkie, tylko kilka), bo deszcz pada, a wykonawca „Budoplast" z Bielska-Białej jakoś nie kwapi się z usunięciem usterek, martwi się, że znów trzeba komuś odmówić sali konferencyjnej, bo jest już zamówiona... Więc ja może lepiej już pójdę.

Na pierwsze piętro. Bardzo atrakcyjne do zwiedzania. W jednej części mieści się Ośrodek Informacji Technicznej oraz biblioteka, czytelnia i pracownia naukowa. Biblioteka dysponuje 5 tysiącami tytułów wydawnictw naukowo-technicznych oraz 100 czasopism zagranicznych i 60 krajowych.

W drugiej części gmachu wielka sala konferencyjna, tu zwana salą kongresową (w odróżnieniu od mniejszych sal konferencyjnych, które znajdują się na każdym niemal piętrze). Jest się czym pochwalić. Kubatura 2.520 m³, 360 miejsc. O niezwykle wygodnych, obszernych fotelach. Na takiej przestrzeni siedzącej można wysłuchiwać spokojnie nawet bardzo długich referatów. Zasłony zasuwane automatycznie, oświetlenie jarzeniowo-żarowe, ściany ozdobione rzeźbami, dyskretnie zasłaniającymi rozliczne oznaki zewnętrzne wewnętrznych przewodów elektrycznych. Nic dziwnego, że w tej właśnie sali wszyscy stowarzyszeni i niestowarzyszeni chcą urządzać swe konferencje, zebrania, spotkania. Sala jest już zarezerwowana do lutego.

Kilka słów należy się reprezentacyjnemu hallowi, z którego wchodzi się do sali konferencyjnej. Posadzka wyłożona szarym marmurem, jedna ściana oszklona, druga wyłożona kamieniem, w którym, wśród zieleni ukryty jest mały wodospad-fontanna. Poza tym miękkie mebelki, pięknie zaprojektowana zieleń. Fontanna przypomniała mi autentyczną anegdotę z Rzeszowa. PTT-K wybudowało tam hotel nowoczesny i estetycznie urządzony.

Kiedy jednak w hallu ujrzałam pokaźnych rozmiarów fontannę, działającą — jak reklama Niagary (była głęboka zima) opanowała mnie nagła wesołość. Z sąsiadującej z fontanną szatni odezwała się na to szatniarka: Tu się nie ma z czego śmiać, mnie już reumatyzm połamał od tej wilgoci! W Domu Technika nie grozi takie niebezpieczeństwo. Po pierwsze dlatego, że nie ma obok szatni, po drugie dlatego, że fontanna jest malutka, a po trzecie dlatego, że w ogóle jest nieczynna.

* ★ *

I wreszcie parter. Najpierw Techneum, czyli salon wystawowy, przeznaczony na ekspozycje najnowszych osiągnięć techniki. Jak i sala obrad — nieustannie zajęty. Stale się tu coś dzieje, jedna wystawa wypiera drugą. Tematyczne ekspozycje towarzyszą wszystkim większym konferencjom.

Na parterze mieści się też Księgarnia Techniczna Domu Książki, przeniesiona tu niedawno z ul. Piotrkowskiej 45. Znalazła piękne pomieszczenie w ośrodku łódzkiej myśli technicznej — w jak najbardziej chyba właściwym miejscu.

I wreszcie Klub Technika. Czyli restauracja i kawiarnia. Restauracja choć czynna dopiero od września, zyskała sobie już dobrą sławę na mieście i wiele osób ubiega się o możność stołowania się tutaj. Czy to tylko tak na początek, czy się potem kuchnia nie popsuje? Ale pan Idzikowski obchodził niedawno 10-lecie pracy w NOT! Jeżeli przez 10 lat, i to w znacznie gorszych warunkach, potrafił dbać o honor NOT-owskiej kuchni, to tym bardziej teraz...

Kawiarenka zaciszna, niewielka, ma charakter raczej klubowy. No dobrze, a klub? W tradycyjnym tego słowa znaczeniu? Taki na życie towarzyskie, brydża, szachy, telewizję, może nawet bilard? Świadomie, czy przypadkowo NOT-owcy odeszli od tego schematu. W sali restauracyjnej odbywają się sobotnie dansingi. Poza tym do tradycji zaczynają wchodzić comiesięczne kwartety kameralne oraz comiesięczne występy estradowe artystów scen łódzkich. To na razie wszystko o życiu kulturalnym. A zdaje się, że jednak sali klubowej brak temu Domowi. W tej chwili nie ma jej gdzie urządzić. Salki konferencyjne muszą służyć swemu przeznaczeniu, w hallach nie ma na to warunków.

* ★ *

Autorzy wymienionej przeze mnie na początku księgi pamiątkowej napisali, że Dom Technika jest urzeczywistnieniem marzeń łódzkiego środowiska technicznego. I tak chyba jest w istocie. Dlatego wszyscy starali się dopomóc w budowie, przyczynić się, by była jak najszybciej ukończona, jak najlepiej wykonana. Ogrodnicy opracowali projekt zagospodarowania terenu wokół Domu, elektrycy — dokumentacje automatu kurtynowego, geodeci — dokumentację geodezyjną, i tak dalej i dalej. Uważają więc ten dom za swoją własność, swoje dzieło. Dlatego przychodzą tu często, korzystają z niego chętnie. Według pobieżnych obliczeń przez ten kombinat myśli technicznej przewija się dziennie około dwóch tysięcy osób.

Dom jest jeszcze bardzo młody, nie we wszystkim jeszcze ukończony. Dopiero teraz zagospodarowuje się zaplecze, układa chodniki. Istnieje projekt przebudowy pasażu wiodącego z Piotrkowskiej do DT, przystosowania jednej ze ścian pasażu do stałej ekspozycji plansz reklamowych. Jest też projekt urządzenia ogródka-kawiarni przy restauracji, otoczonego niskim żywopłotem. To oczywiście plany letnie. A żeby do Domu Technika wiodła technika na wysokim poziomie, efektowne szklane, lecz na zimę niepraktyczne, bo nieszczelne drzwi, otwierane być mają przy pomocy fotokomórki, lub elektrycznego automatu. Dożyjemy, zobaczymy.

ZIEMIA ŁÓDZKA a poprawa Rzeczypospolitej

Dalszy ciąg ze str. 3

rodowego w publicznych modłach Kościoła".

...I INNI „ODSZCZEPIEŃCY"

Wśród księży „odszczepieńców" przypomnieć też należy Stanisława Lutomierskiego, proboszcza w Koninie i Tuszynie, z kolei sekretarza w kancelarii Zygmunta Augusta i przyjaciela Frycza Modrzewskiego. Przyjęciem konfesji ewangelickiej ściągnął na siebie represje władz kościelnych. Broniąc się przed wyrokiem arcybiskupim ogłosił drukiem swe wyznanie wiary i rozesłał je do króla, państwowych dostojników i przyjaciół. Tym samym zerwał ostatecznie z kościołem i rzucił się w wir polemik religijnych, przechodząc na coraz bardziej radykalne pozycje, aż przylgnął do arianizmu, którego stał się gorącym propagatorem i obrońcą.

W obozie ariańskim znalazł się również syn mieszczanina z Brzezin, słynny Grzegorz Paweł (1525—1597). Po studiach w Akademii krakowskiej i królewieckiej oraz w podróżach zagranicznych, w których zbliżył się do kalwinizmu, rozpoczął Grzegorz Paweł działalność reformatorską w rodzinnym mieście, ale na skutek wyroku arcybiskupiego, musiał je opuścić i szukać opieki w ośrodku pińczowskim, gdzie wyrósł na ideologa i teoretyka ruchu ariańskiego.

Za przywódcami i kaznodziejami poszli wierni. Z całą żarliwością włączali się do nowych nurtów religijnych, które rozlały się szeroko po naszych ziemiach. W wielu miastach powstały zbory i gminy różnowiercze. Lokowały się w specjalnie na ten cel powstałych budynkach lub w dawnych kościołach katolickich. Wierni często też zadowalali się izbą w domu prywatnym lub nawet piwnicą. Trudno więc dziś odtworzyć sieć tych gmin wyznaniowych. Fala kontrreformacji wiele z nich zupełnie zmiotła, a wracający na łono kościoła potomkowie różnowierców zamazywali często te kompromitującą ich przeszłość rodzinną.

Z dochowanych szczątków czy dzięki miejscowej tradycji ustalić możemy lokalizację zaledwie kilkunastu. Najruchliwszymi ośrodkami różnowierstwa były miasteczka: Lutomiersk, gdzie żywa działalność prowadzili Bracia Czescy, mając tu swój zbór i znaną szeroko szkołę; Burzenin i Łopatki, protekcję nad ruchem objął tu podskarbi królestwa Hieronim Bużeński; Brzeziny — miejsce działalności Frycza Modrzewskiego oraz kalwińskich właścicieli i protektorów miasta — Lasockich; Łazin pod patronatem rodziny Zakrzewskich, dalej Zygry, a na Ziemi Wieluńskiej — Działoszyn, Kępno, Mielecin, Parcice, Wieruszów.

Żarliwość, zapał i nadzieje związane z ruchem umniejszała jednak dezorientacja wynikła z mnogości wyznaniowych kierunków i zawiłych trudnych do pojęcia dla szeregowców różnic dogmatycznych i strukturalnych tych odłamów. Domagano się więc powszechnie jedności religijnej, synodu ogólnonarodowego, pojednania między wyznaniami. Reformatorzy postulowali, by zwołanie synodu powierzyć królowi z pominięciem uprawnień hierarchii kościelnej, król jednak nie zdecydował się na ten krok.

PRZESŁAWNA WOLBORSKA DYSPUTA

Toczyły się dysputy słowem i piórem, zarówno między katolikami i różnowiercami, jak i wewnątrz skłóconego obozu Reformacji. Kilka takich prób pojednania odbyło się na naszych ziemiach. Oto w 1561 roku miała miejsce słynna publiczna dysputa wolborska, w której starli się dwaj tytani pióra, ongiś przyjaciele i koledzy: Modrzewski i Orzechowski. Spór dotyczył nieomylności papieża i stosunku soboru do głowy kościoła, była to przecież chwila gdy w Trydencie dokonać się miała reforma Kościoła. Dysputa ta, przerwana po kilku dniach, zakończyła się tragicznie dla Modrzewskiego, którego nielojalny przeciwnik oskarżył przed sądem kościelnym. Musiał więc uchodzić z rodzinnego Wolborza, ale dzięki pomocy przyjaciela, również innowiercy — drukarza Daniela z Łęczycy, napisana ad hoc obronę swego stanowiska już po kilku tygodniach mógł ogłosić drukiem. Poruszenie było powszechne.

Zakaz rozpowszechniania jego dzieła (napisanego w języku łacińskim) „O poprawie Rzeczypospolitej" nie odstraszył też sieradzkiego mieszczanina i różnowiercy, Cypriana Bazylika w opracowaniu polskiego przekładu tego wiekopomnego traktatu.

W tym samym 1561 roku dochodzi też do zjazdu w Burzeninie licznych przedstawicieli wyznań różnowierczych, radzących o połączeniu i ugodzie. Próba zawiodła i zrealizowana została dopiero po latach w Sandomierzu (1570). Inna dysputa publiczna zorganizowana przez wspomnianego już Lutomierskiego, miała miejsce w Brzezinach w 1565 roku i znów do porozumienia nie doszło. Ale Lutomierski podejmuje nową próbę podczas sejmu w Piotrkowie, przeprowadzając już jako arianin dyskusje z kalwinami.

* * *

Wiele zapału, oddania i poświęcenia wykazali przywódcy i ideologowie, którzy przyjmowali dobrowolnie los wygnańców, narażali się na szykany, prześladowania, utratę mienia i stanowiska. Wysiłki ich nie były zmarnowane. Wiek XVI renesansowymi blaskami kładł się przede wszystkim na siedzibach możnych, Reformacja zaś, używając języka narodowego trafiała do szerokich rzesz społeczeństwa, obudziła je intelektualnie i uaktywniła jak nigdy przedtem w życiu społecznym i kulturalnym.

ZOFIA LIBISZOWSKA

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Kulisy działania obcego wywiadu w NRF

Dziś z kolei zamieszczamy relację wóch osób — nazwijmy je umowie — obywatela Iks i obywatela et, którzy będąc czasowo na terytrium NRF, wybrali „wolność" i dmówili powrotu do kraju. Droga o „wolności" wiodła ich utartym lakiem przez komisariaty policji, bozy, niezliczone badania różnych ywiadów itp, itd. Po wielu gorzch, często dramatycznych doświadeniach, tułaczce i upokorzeniach oszli do wniosku, że źle „wybrali", mogą przegrać życie. Zdecydowasię na powrót do kraju.

* * *

Opowiada obywatel Iks z Łodzi, który będąc przejazdem w Republice Federalnej zapragnął zostać tam na stałe:

„...Na dworcu w Hamburgu zgłosiłem się do policji kolejowej z prośbą o skontaktowanie mnie z policją do spraw obcokrajowców. Po upływie chyba godziny przyjechał jakiś mężczyzna, dobrze mówiący po polsku. Przedstawił się jako urzędnik instytucji, która pomoże mi w załatwieniu formalności, związanych z zezwoleniem na pobyt w NRF. Zawiózł mnie do hotelu, niedaleko dworca kolejowego, gdzie też dostałem tymczasowe locum. Tutaj, po wymianie kilku nic nie znaczących zdań, spisał moje personalia, po czym zapowiedział, iż odwiedzi mnie jutro rano, pożegnał się i wyszedł.

Nazajutrz przyjechał o godzinie 8.30 i zaraz na wstępie powiedział mi, że pojedziemy do jego biura, gdzie jeszcze raz chciałby ustalić moje personalia oraz porozmawiać ze mną szerzej o pewnych sprawach, które go interesują. Nie zwlekając udaliśmy się do owego biura. Mieściło się ono w dość okazałym dwupiętrowym gmachu. Nad wejściem widniał napis: „Comercbank". Zaprowadził mnie do swego gabinetu, mieszczącego się na drugim piętrze. Co mi się tu zaraz rzuciło w oczy, to dwie duże mapy Niemiec, na których polskie Ziemie Zachodnie były oznaczone napisem: „Pod tymczasową administracją Polską", a granice Polski z NRD i NRD z NRF: „liniami demarkacyjnymi"...

Mój „opiekun" nie tracąc czasu na towarzyskie rozmowy z miejsca przystąpił do rzeczy tj. spisał moje personalia oraz szczegółowe dane dotyczące rodziny. Trwało to dość długo, po czym nastąpiła około dwugodzinna przerwa w badaniach. Po obiedzie rozpoczął dalsze przesłuchania. Teraz sypnął pytaniami, które, jak sądzę, miały na celu ustalenie, czy rzeczywiście mieszkałem w Łodzi i czy znam to miasto. Wyglądało to tak, że podawał nazwy dwóch ulic i pytał, w którym miejscu się krzyżują, następnie gdzie znajduje się Uniwersytet Łódzki, gdzie zaczyna się ulica Piotrkowska i gdzie się kończy itp. Odpowiedzi sprawdzał na planie Łodzi takim, jakie można kupić w Polsce. Po tym „wstępnym egzaminie" zaczął mi zadawać pytania dotyczące produkcji pewnych zakładów łódzkich. Powiedziałem, że nic o nich nie wiem. Nie bardzo w to uwierzył, lecz do tej sprawy już nie powrócił. Niemniej, nie omieszkał mi powiedzieć, że do takich ludzi jak ja władze, które on reprezentuje, mogą się ustosunkować różnie, w zależności od tego, czy mówią oni prawdę, czy też nie. Że dysponują specjalnym funduszem, z którego mogą udzielić pomocy. Poradził mi, żebym to sobie do jutra przemyślał. Na tym zakończyliśmy rozmowę, po czym odwieziono mnie do hotelu.

Następnego dnia znów przyjechał i znów zawiózł mnie do owego biura „handlowego". Ledwie zdążyłem usiąść na krześle, powiedział: dziś zadam panu pytania, na które chciałbym otrzymać odpowiedź. A zatem: jak można by scharakteryzować Studium Wojskowe, podać nazwiska oficerów, którzy prowadzą wojskowe szkolenie studentów, w jakich jednostkach wojskowych odbywają się obozy?... Odmówiłem odpowiedzi. Bardzo się zdziwił i powiedział, że wobec tego nie rozumie mego postępowania. Ale widać chwilowo zrezygnował z mej odpowiedzi, gdyż zadał mi następne pytania: wyjął mapę Łodzi i poprosił, żebym zaznaczył na niej koszary, budynki zajmowane przez Milicję, przez Prezydia Rad Narodowych i szkoły wojskowe... Odmówiłem. Zdenerwował się i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił niosąc w ręku fotokopię mapy Łodzi. Były na niej zaznaczone siedziby rad narodowych, koszary, siedziby komendy MO, szpital wojskowy, szkoła wojskowa, dworce, mosty i inne tego rodzaju obiekty. Wszystkie były oznaczone numerami, a ich pełne nazwy w brzmieniu polskim i niemieckim wypisane na marginesie. Zauważyłem dużo nieścisłości. Spojrzałem na rok wydania i, o ile sobie przypominam, był tam rok 1948. Położył fotokopię na biurku i powiedział: widzi pan, i tak wszystko wiemy. Chcemy tylko sprawdzić, czy jest pan wobec nas szczery. Odpowiedziałem, że jest to stara mapa i w większości już nieaktualna. No to niech pan ją skoryguje — powiedział. A po co — odpowiedziałem — skoro ma pan mapę Łodzi, wydaną ostatnio w Polsce. Udał, że tego nie dosłyszał i po chwili spytał: czy w lesie w Łagiewnikach obozuje jeszcze wojsko radzieckie?... Bardzo zdenerwowany odpowiedziałem, że nie wiem i że mapy nie poprawię. Choć, co tu dużo mówić, byłem przerażony. Odczułem nagle, że jestem zupełnie sam w obcym kraju, wśród obcych mi ludzi, że nikt mi nie pomoże, gdyż nikogo nic nie obchodzę. W myśli gorączkowo szukałem odwrotu z tej niebezpiecznej drogi „do wolności", na którą tak lekkomyślnie wstąpiłem. Żale po niewczasie! Jakże klątem teraz w duchu własną naiwność i głupotę!

Gdy odmówiłem skorygowania mapy, zdenerwował się. Wstał, zwinął papiery i powiedział, że w takim razie nie może mi pomóc i że muszę jechać do obozu w Zirndorf k/Norymbergi. Wprost z biura zawiózł mnie do policji kryminalnej, gdzie zdjęto mi odciski palców. Póź niej dał mi bilet kolejowy na przejazd do Zirndorf. Tego samego dnia musiałem opuścić Hamburg i wyjechałem do obozu..."

I tak oto pierwszy etap drogi „do wolności" miał już obywatel Iks poza sobą... Teraz zaczęło się życie obozowe. Po pewnym czasie udało mu się wyrwać z obozu. Pojechał do znajomego, który mieszka w jednym z państw zachodnich, graniczących z NRF. Starał się tam o zezwolenie na pobyt. Ale tam mają dość własnych kłopotów, po co im jeszcze uchodźcy. Więc musiał wracać do NRF. Lecz dokąd? Ano, znów do obozu w Zirndorf. Do miejsca zamieszkania... Tutaj, bo jednak, żyć z czegoś trzeba, a pieniędzy już brakło, zaangażował się do pracy w warsztacie samochodowym amerykańskiego szpitala wojskowego na przedmieściu Norymbergi..

W Zirndorf, zresztą podobnie jak we wszystkich innych obozach tego rodzaju w NRF — jak to zobaczymy później — codzienne życie obraca się wokół rozlokowanych tam przeróżnych urzędów i biur. A więc nieustanne badania, meldowanie, odciski palców, rejestracje, zdawanie i pobieranie koców, sprawy zatrudnienia, starania o zezwolenie na pobyt w NRF, o paszport obcokrajowca, o azyl polityczny itp., itd.

Jest to nieustanna karuzela wśród mnóstwa pokoi, w których zawsze ktoś o coś pyta i coś spisuje. Ale dwa spośród nich zasługują na szczególną uwagę. Oto co mówi o nich obywatel Iks:

„...Pokój 204 zajmują pracownicy amerykańskiego wywiadu. Sami na miejscu nie przesłuchują, ale wezwania przysyłają... Chętnych kierują do Norymbergi. Niektórych przesłuchiwano jeszcze przed przyjazdem do Zirndorf. Ja wezwania nie otrzymałem. Przy stemplowaniu karty obiegowej spytano mnie, czy mógłbym udzielić pewnych informacji. Odmówiłem. Tych którzy zgadzali się na to codziennie rano wożono samochodem do Norymbergi. Wracali około 16-ej. Płacono im za to tyle, ile wynosił ich dzienny zarobek w miejscu pracy. Bowiem niektórzy spośród nich pracowali. Przesłuchiwania odbywały się w Norymberdze, gdzieś na starym mieście.

W pokoju 218 przesłuchiwano każdego Polaka, robił to jakiś osobnik podpisujący się literą „B"...".

Po pobycie w innych jeszcze obozach, po licznych perypetiach i gorzkich doświadczeniach, obywatel Iks zgłosił się do Polskiej Misji Wojskowej w zachodnim Berlinie i poprosił o zezwolenie na powrót do kraju. Obecnie mieszka w Łodzi, pracuje w swoim zawodzie. Na terytorium NRF był krótko, szybko zawrócił z drogi, prowadzącej do nikąd.

•

Obywatel Zet dłużej decydował się na powrót do kraju i dlatego koleje jego drogi do „wolności" są nieco inne, bardziej — użyjmy takiego określenia — „urozmaicone"...

Wyjechał na pobyt czasowy do rodziny, zamieszkałej w Republice Federalnej. Któregoś dnia znalazł się w zachodnim Berlinie i tu zdecydował się pozostać. Zgłosił się do miejscowej policji, gdzie po „dopełnieniu formalności" skierowano go z miejsca do obozu w Marienfelde, w zach. Berlinie. A tutaj...

„...zaraz pierwszego dnia pobytu przesłuchał mnie urzędnik z administracji obozu, dobrze mówiący po polsku. Zadał mi kilka pytań, ale nie chciałem odpowiadać. Rozzłościł się i krzyknął. Od razu zrozumiałem, że to obóz, a nie dom. Milczałem, więc znów podniósł głos: co wiem o koszarach przy ul. „X" w Łodzi?..., gdzie są zlokalizowane lotniska, jakie oznaki służbowe noszą na mundurach polscy wojskowi, czy mam znajomych wśród milicjantów, jakie znam jednostki wojskowe rozlokowane w pobliżu Łodzi, gdzie mieszczą się składy amunicji?...

...urzędnik, który mnie przesłuchiwał zabrał mi dowód osobisty i polecił wypełnić druczek, dotyczący danych personalnych. Następnie musiałem przejść kolejno trzy pokoje, w których przesłuchiwano mnie bardzo drobiazgowo i za każdym razem spisywano personalia moje i mojej rodziny. W każdym pokoju musiałem też podać szczegółowy życiorys... Nazajutrz przesłuchiwano mnie również, tym razem poza obozem. Z przesłuchania sporządzono protokół. Stąd z kolei przewieziono mnie samochodem w inne miejsce, gdzie znów przesłuchiwano...".

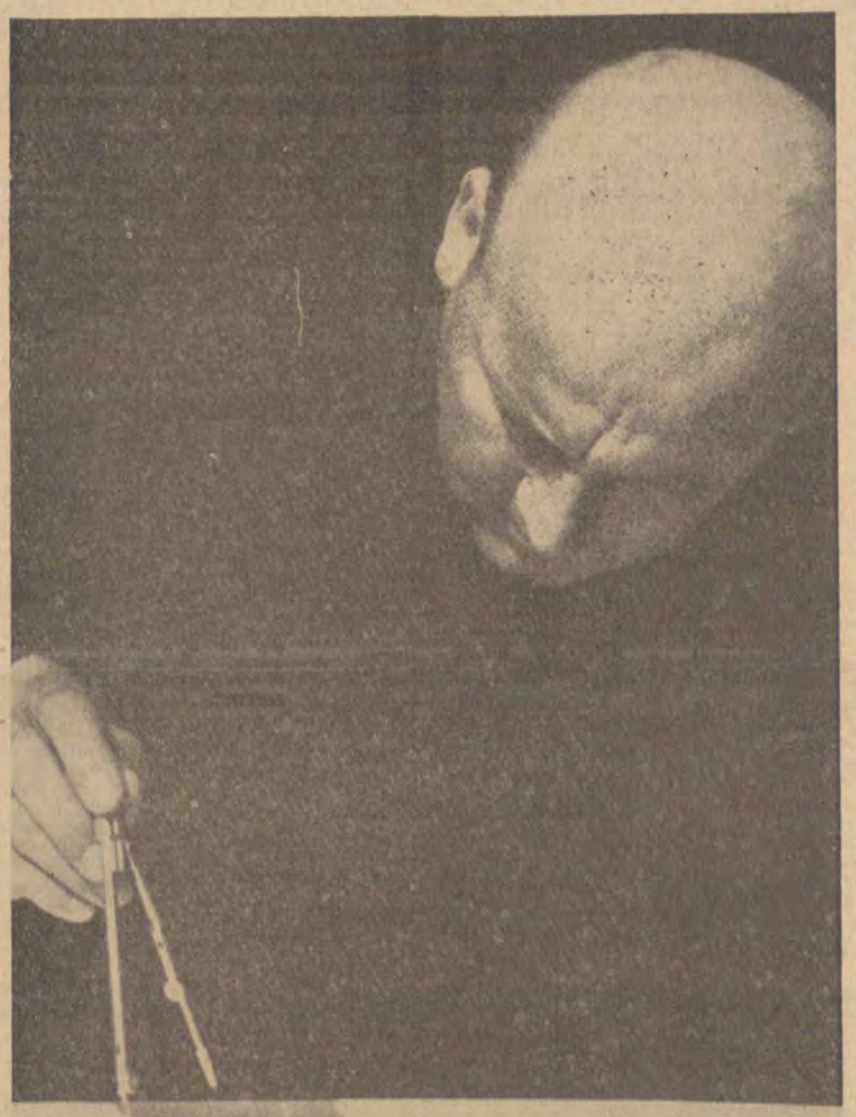

Po tak „pracowicie" spędzonym dniu obywatela Zet odwieziono wreszcie do miejsca stałego zamieszkania w Berlinie zach., tj. do obozu w Marienfelde. A nazajutrz...

„...nazajutrz rano przesłuchiwał mnie jakiś inny urzędnik z administracji obozu Marienfelde, po czym pojechałem poza obręb obozu, na przesłuchanie do Amerykanów. Ten, który mnie przesłuchiwał mówił po polsku. Po szeregu pytań na tematy personalne, osobiste i rodzinne, zaczął mi zadawać pytania dotyczące spraw wojskowych: jakie znam jednostki wojskowe, rozmieszczenie koszar, lokalizacja lotnisk w Polsce i składów amunicji oraz szereg innych... Ponieważ odmówiłem odpowiedzi, zdenerwował się i zaczął krążyć po pokoju. Kiedy się trochę uspokoił i opanował, usiadł na krześle i spytał mnie bardzo łagodnie: czy pan dlatego nie odpowiada, że pan nie chce, czy dlatego, że pan nie wie?... Odpowiedziałem, że wojsko nigdy mnie nie interesowało. Przez dłuższą chwilę milczał, po czym jak gdyby nie słysząc mojej odpowiedzi, zaczął mi zadawać te same pytania, a ponadto wypytywać o fabryki produkujące samoloty oraz co produkuje się w poszczególnych łódzkich fabrykach?".

Po takim maglu należała się nagroda i obywatel Zet ją otrzymał: „...i po przesłuchaniach wręczył mi fotokopię mego dowodu osobistego i podarunek: przyrządy do golenia w plastikowej torbie, zamykanej na ekspres...".

Po otrzymaniu w podarunku... „przyrządów do golenia w plastikowej torbie, zapinanej na ekspres", obywatel Zet wrócił do obozu Marienfelde. Tegoż dnia, po obiedzie, ponieważ dzień pracy jeszcze się nie skończył, obywatela Zet jeszcze raz przewieziono do Berlina zach. gdzie bardzo drobiazgowo przesłuchała go pewna dama na okoliczność czystości odbioru audycji „Wolnej Europy" i „Głosu Ameryki".

Czy dobrze słychać?... I czy „wyraźnie?... Jakie wrażenie na słuchaczach robią te audycje?...".

Chciałoby się rzec w tym miejscu, iż wyjątkowo dobre wrażenie robią właśnie na tych, którzy „wybrali wolność" i znaleźli się w obozach. Na przykład w obozie Marienfelde, czy Zirndorf albo Valka, albo Oberursel... Ale do rzeczy. Po tych programowych indagacjach na temat odbioru audycji, obywatel Zet wrócił do domu, to znaczy znów do obozu.

Po upływie pewnego czasu przerzucono go do obozu pośredniego przy Fulhofestrasse, również w zach. Berlinie. Zaraz nazajutrz, po zakwaterowaniu i zaprowiantowaniu udał się po policji, tym razem bez eskorty, gdzie go zameldowano oraz wzięto odciski palców. Tym oficjalnym aktem niejako zaliczono go w poczet stałych mieszkańców obozu. Po co najmniej trzech tygodniach, dziś obywatel Zet nie przypomina już sobie jak długo to trwało — obozowego życia przy Fulhofestrasse, został samolotem przetransportowany do nowego miejsca „zamieszkania" — do obozu Oberursel, już na terenie NRF. A tutaj...

„...Mieszkałem w przejściowym pokoju wraz z trzema innymi współlokatorami. W drugim dniu pobytu w obozie Oberursel wezwano mnie do urzędnika administracji obozowej, który szczegółowo spisał moje personalia. Kilka dni później znów wezwano mnie na przesłuchanie, tym razem do młodego mężczyzny w mundurze amerykańskiego wojskowego. Po kilku pytaniach na tematy ogólne, zapytał mnie co przywiozłem z sobą z Polski. Kazał mi wyjąć wszystko z kieszeni i położyć na stole. Zainteresował go automatyczny ołówek czechosłowackiej produkcji, który nabyłem w Polsce. Zaproponował mi, że go kupi. Zgodziłem się. Zatrzymał też polski kieszonkowy kalendarzyk i zaświadczenie o zdaniu książeczki wojskowej. Zapytał też, czy przywiozłem z Polski jakieś ubranie i czy kupiłem je w Polsce gotowe, czy też szyłem na zamówienie. Gdy odpowiedziałem, że istotnie, ubranie przywiozłem, lecz uszył mi je prywatny krawiec, przestał się tym interesować. Wypytywał mnie szczegółowo o ceny artykułów żywnościowych w Polsce...

Nazajutrz znów wezwał mnie ów amerykański oficer. Tym razem interesowała go polska książeczka wojskowa i na ten temat zadał mi mnóstwo drobiazgowych pytań: jej rozmiary, kolor okładki, rubryki, ilość kartek, znaki szczególne, przez kogo wydana, czy ma znaki wodne itp...".

Ponieważ żywe zainteresowanie amerykańskiego oficera takimi drobiazgami codziennego użytku jak ołówek automatyczny, kalendarzyk kieszonkowy oraz ubranie i inne, może się wydać niezrozumiałe, przeto parę słów wyjaśnienia.

Od czasu do czasu, wywiad zachodni usiłuje przerzucić na nasze terytorium swych agentów, instruowanych, jak wiadomo, w specjalnych szkołach szpiegowskich. Taki agent musi być „zrobiony na rdzennego obywatela PRL" — mówi świetnie po polsku, zaś dokumenty i drobiazgi, które ma przy sobie są polskiego pochodzenia. Więc Polak co się zowie, od szpilki do skarpetek. Stąd ta pasja amerykańskiego oficera do zbierania rekwizytów z Polski.

Powróćmy do dalszych losów obywatela Zet. W obozie Oberursel, nawiasem mówiąc, administrowanym przez amerykańską jednostkę wojskową, przebywał kilka tygodni. Gdy obszedł już wszystkie pokoje administracji obozowej, tudzież biura wywiadu poza obozem, dostał skierowanie do nowego miejsca „zamieszkania" — do obozu Valka koło Norymbergi. Przedtem jednak otrzymał koszczykowe — 23 marki. Na podróż i drobne wydatki.

A zatem w drogę do obozu Valka. No cóż, tu zupełnie jak tam, w Oberursel, tyle tylko, że administracja zachodnioniemiecka i warunki bytowe bardzo złe, szczególnie wyżywienie. Zamiast orkiestry i triumfalnej bramy z napisem „witaj w wolnym świecie" — proste baraczki i obozowe podwórko, wszystko otoczone murem. A poza tym...

...zbiorowisko ludzi okropne. Raz po raz wybuchały awantury i bijatyki...".

Zaraz po przyjeździe obywatel Zet został zameldowany w obozie i...

.....tego samego dnia zakwaterowano mnie do baraku, w trzyosobowym pokoju. Po upływie dwóch dni dostałem kartę obiegową, z którą chodziłem do podpisu do około dziesięciu pokojów. Dwa dni chodziłem z tą kartą. Od pokoju do pokoju... W jednym z nich znów przesłuchiwano mnie na temat odbioru audycji „Wolnej Europy" i „Głosu Ameryki"... Słyszałem, jak pytano innych, jakie wrażenie wywierają w Polsce audycje tych stacji i jak są komentowane. W innym pokoju pytano mnie, dlaczego uciekłem z Polski, jakiego typu szkoły są w Polsce, ile lat trwa nauka, czy mam znajomych milicjantów...".

W obozie Valka obywatelowi Zet, który wypełnił potrzebne formularze, obiecano, iż w ciągu pół roku wyemigruje do Ameryki Południowej. Szeroka to i daleka perspektywa. Na razie jednak obywatel Zet był w obozie Valka, a zima tuż, tuż. Więc biuro obozowe przyszło mu z pomocą...

.....w tym biurze dostałem palto zimowe. Innej odzieży nie otrzymałem, gdyż mieli odnotowane, co dostałem w obozie w Oberursel...".

A w Valka było ciężko...

.....władze obozowe nie udzielały żadnego wsparcia pieniężnego...".

I trzeba było podjąć jakąkolwiek pracę...

.....do obozu przychodził urzędnik Arbeitsamtu i zapisywał do pracy. Mnie też zapisał"...

Już około dwóch miesięcy przebywał obywatel Zet w obozie Valka. Któregoś dnia powiadomiono go w administracji, żeby zabrał rzeczy, bo wyjeżdża do... obozu w Zirndorf...

.....Dlaczego mam tam jechać i po co — tego mi nie powiedzieli. Obóz w Zirndorf i koniec. Dali mi adres obozu i bilet na tramwaj. Pojechałem bez eskorty. Po dopełnieniu formalności meldunkowych zakwaterowano mnie w obozie. Przebywałem tutaj ponad miesiąc. Któregoś dnia wezwano mnie do administracji, gdzie otrzymałem zaświadczenie, zezwalające na pobyt w NRF. Poszedłem z nim do Arbeitsamtu, gdzie wypłacono mi trochę pieniędzy i wręczono bilet kolejowy na drogę do miejsca pracy. Otrzymane pieniądze miały mi starczyć na życie, aż do momentu, gdy dostanę pieniądze za pracę. Pojechałem do wskazanej miejscowości i tam podjąłem pracę. Również tam zamieszkałem. Pracowałem około 2 miesięcy, po czym zwolniono mnie bez podania przyczyn...".

Później pracował jeszcze w kilku miejscach, bez widoków stabilizacji. Był głęboko rozczarowany „drogą do wolności", która wiodła przez liczne obozy przejściowe, i której nie widział końca. Nie tak to sobie wyobrażał... Wreszcie, po trzech latach wycierania katów to tu, to tam, obywatel Zet dotarł z trudem do zachodniego Berlina, gdzie zwrócił się do Polskiej Misji Wojskowej z prośbą o zezwolenie na powrót do kraju. Wrócił, pracuje, mieszka w Łodzi.

* * *

To wszystko. Komentarza nie będzie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Z całą Pewnością

— Cieszę się, Jasiu, że cię widzę. Dawno już nie miałem okazji pogadać z tobą, człowiek taki zagoniony, ledwie że nadąża zrywać kartki z kalendarza, co?

Proszę bardzo, pozwól że pomogę zdjąć ci płaszcz. Trochę jak widzisz jestem podenerwowany, nie gniewaj się, właśnie przed chwilą wróciłem do domu z takiego spotkania — siądź sobie, przecież jesteś tu jak u siebie... Muszę zaraz wszystko przeszukać, przewrócę cały dom do góry nogami, sam już nie wiem co o sobie myśleć, coś chyba w środku nie klapuje... Zapalisz?

Dziwisz się mojemu rozgadaniu, co? Wszystko wyjaśnię, widzisz, nie dopuszczam cię nawet do głosu, prędziutko wyjaśnię i zaraz zaczniemy poszukiwania. Z twoją pomocą prędzej pójdzie... Coś podobnego jeszcze mi się nie przydarzyło, przecież mnie znasz, Jasiu, nie? Idiotyczna historia, mówię ci, — no, całkiem durna!

Wracałem, proszę ciebie z Krakowa, mieliśmy tam taką kameralną naradę terenową, jakieś dwa tygodnie temu. Normalnie drzemałbym sobie jak zwykle, ale tym razem zebrał się dość sympatyczny zespół w naszym przedziale, jakoś szybko nawiązaliśmy kontakt zaczęła się rozmowa, to o tym, to o tamtym, były dwie panie i zwłaszcza jakiś wesoły starszy pan w berecie z ogonkiem; wcale nie zdjął tego beretu, palto tylko zdjął i powiesił na moim, trochę to nam przeszkadzało, nie można było wygodnie się oprzeć. Facet znał parę dobrych anegdot, potem przeszliśmy na normalny repertuar kolejowy, od złodziei przez duchy do różnych znachorów — no i zaczęło się o wojnie. Ten gość miał właśnie piękny dar słuchania. Więc ja też się rozgadałem, znał niektóre okolice Europy, przez które nas kiedyś nosiło — kapujesz, taka rozmowa to samograj, popisowa aria każdego z nas.

Łodzianin. Nie trzeba się było domyślać, sam powiedział, że mieszka w nowych blokach na Widzewie, przedtem też siedział w tej dzielnicy w drewnianym domu z ogródkiem, w którym — jak powiedział — nic nie chciało rosnąć oprócz dzieci. Ale gdzieś przed Piotrkowem wyjrzał przez czarne szyby, sprawdził zegarek, powiedział — zaraz Piotrków. To ja tu wysiadam — i wyszedł do toalety.

Światło mieliśmy w przedziale zgaszone, podróż trwała już parę godzin, wszyscy byli po trosze zmęczeni, marynarz w kącie chrapał i mój rozmówca musiał wysoko podnosić nogi, żeby przekroczyć wyciągnięte beztrosko kończyny śpiącego. Tak jakoś — na pół odruchowo — klepnąłem ręka po kieszeni palta, w której noszę swój notes. Notes jest wprawdzie cały już zabazgrany i dawno mógłbym go wyrzucić, może tylko niektóre adresy i telefony byłyby jeszcze aktualne ale tam są jeszcze dwie przegródki i w jednej z nich miałem forsę. Nie majątek, trzy tysiące w sześciu pięćsetkach, no ale to przecież tyle, co cała miesięczna dola. Jeden dłużnik mi zwrócił, po kilku zresztą przypomnieniach, jak to zwykle bywa i oczywiście obrażony, że wziąłem. Jak się chce podtrzymać przyjaźń, czy choćby znajomość — ręce precz od pieniędzy. Stary kawał nie?...

Więc, proszę ciebie, klepnąłem po tej kieszeni i coś mi się wydało nie tak jak trzeba, więc jeszcze po ciemku wsunąłem tam rękę, wyciągam notes — pieniędzy nie ma! Były złożone we troje — inaczej nie zmieściłyby się do przegródki notesu. Składałem je przy oknie w biurowym korytarzu, dłużnik patrzył mi na palce jakby nie mógł tych banknotów odżałować, jakby uważał, że znalazły się w niewłaściwych rękach. Taki żłób! Składałem w korytarzu przy oknie, powoli i dokładnie, włożyłem tu do przegródki notesu — i nie ma!

Żona, muszę powiedzieć, na te pieniądze bardzo liczyła. Lekarze zalecili naszej małej bezwzględnie parę tygodni prewentorium — bidulka taka, mała i blada, ani biegać, ani skakać — na nic jej się nie pozwala, teraz masz, cholera myśle — oczywiście ten gość w berecie. Co mu się tak nagle do Piotrkowa zachciało? Nic, tylko wziął, taki grosz, taki pierońsko potrzebny grosz!

Takie mnie złe podkusiło... Nie umiem powiedzieć jakem się na to odważył. Dość, że jeszcze raz wsunąłem rękę do kieszeni palta. Tego drugiego palta. Nikogo te manipulacje nie interesowały. Portfel sam wcisnął mi się w rękę... I od razu wypadło z niego sześć pięćsetek, złożonych we troje Nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. Uszy mnie trochę piekły i dłonie się pociły, ale wątpliwości nie mogłem mieć. Przecież mnie znasz, Jasiu, przecież nigdy bym cudzego nie tknął!

No więc szybko portfel wrócił na swoje miejsce, notes — z pieniędzmi w przegródce — na swoje, a właśnie pociąg zwalniał już między światłami Piotrkowa. Gość w berecie wpadł w ostatniej chwili, szybko pochwycił płaszcz i teczkę i ledwie rzuciwszy słowo pożegnania pośpieszył do wyjścia.

Czekaj, jeszcze nie koniec. Przed godziną widziałem się z tym gościem. Szukałem go przez radio. Może słyszałeś taki komunikat: „Pan" któremu w dniu takim a takim w pociągu zdążającym z Krakowa do Łodzi zginęło trzy tysiące złotych, proszony o podanie nazwiska i adresu..." Słyszałeś? No właśnie. Nadałem ten komunikat, bo, wyobraź sobie, ledwie gość wysiadł, pieniądze się znalazły. Wcale nie w notesie. Luzem w tylnej kieszeni spodni. Sześć złożonych we troje pięćsetek. Więc już zamiast trzech miałem sześć tysięcy złotych i okradłem sympatycznego starszego pana z Widzewa. Liczyłem piętnaście razy i przecierałem oczy, odczekiwałem kwadrans i liczyłem znowu. Okradłem gościa! Więc ten komunikat. Co mi tam cudzym się tuczyć. I wyobraź sobie zgłosiło się dwóch! Dwa nazwiska i dwa adresy! Żeby było śmieszniej — obydwa na Widzewie. Uśmiałem się serdecznie, już mogłem się swobodnie śmiać, bo przecież — myślałem sobie — zaraz sprawę wyjaśnię, chociaż to będzie przykre, ale wyjaśnię, oddam forsę. Poznam przecież tego faceta, mam go dokładnie w pamięci.

Napisałem na obydwa adresy. Prosiłem uprzejmie o przyjście — z różnicą jednej godziny — do Tureckiej, wiesz, taka mała kawiarenka, stolik pierwszy w lewo, na wprost szatni. Nie powiem, żebym tam szedł z przyjemnością. Chwilami myślało mi się jakoś tak niechcący, że inny by aż taki uczciwy nie był, że przecież wziąłem tę forsę w najgłębszym przekonaniu, że jest moją własną, a tu córeczka chora, w domu się nie przelewa, nikt przecież nie wymaga aż takich zabiegów jak chodzenie do rozgłośni, wydawanie pieniędzy na komunikaty, tracenie czasu. Ale szedłem, twardo — myślę sobie — oddam, przyznam się i niech mi się nigdy więcej nie śni sięganie do cudzych kieszeni.

Tak. Niezupełnie się przyznałem. Może się nie wszystko idealnie zgadzało w opowiadaniu, które sobie wymyśliłem, może facet niecałkiem uwierzył albo i wcale nie wierzył, niech tam. — Wypadło panu z palta, a ponieważ już pana nie było, więc podniosłem i tego... Dziękował bez przekonania i więcej było w tym co mówił i w tym jak patrzył zdziwienia, że pieniądze wypadły z portfela ukrytego w głębokiej kieszeni, niż radości z ich odnalezienia i najprostszej wdzięczności dla znalazcy. Mieszał tę swoją kawę i mieszał, wreszcie wcale jej nie wypił, opowiedział jakiś kawał o roztargnionym profesorze, zaśmiał się całkiem inaczej niż w pociągu i poszedł. Niech tam. Byłem dumny z siebie, a trochę zły i zawiedziony. Jeśli już zdobyłem się na kryształową uczciwość, to niechby ja facet docenił, niechby chociaż skakał ze szczęścia na widok odzyskanej zguby. No nie? Powiedz Jasiu, czy to człowieka trochę nie zniechęca do dalszego uprawiania cnoty?

Ten drugi też przyszedł. Oczy mu latały, że aż miałem ochotę ręka je przytrzymać. Wszystkie nieufności, które zafasowałem od tamtego, mogłem teraz z nadwyżka przewalić na nowego rozmówcę. Cóż za typ! Twierdził, że zginęło mu dużo więcej, ale po usłyszeniu komunikatu myślał, że ktoś widocznie znalazł część, a może złodziej zgubił — tak powiedział — ten co mnie okradł, powiedział, i zaraz się spłoszył, zamrugał, zaczerwienił, śmiać mi się chciało i mogłem być wobec niego zupełnie pewnym siebie...

No, po kwadransie jużeśmy nie mieli o czym mówić. Więc zapłacił za kawę — ładną chwilę walczył ze mną o prawo zapłacenia, przed wyjściem pożegnaliśmy się i on od razu wskoczył do autobusu, a ja przystanąłem przed księgarnią i sięgnąłem po papierosa. Wiesz, że mało palę, raz na trzy—cztery godziny, a mogę też nie zakurzyć przez cały dzień, ale papierośnicę noszę zawsze, bardzo ją lubię, jest taka płaska i elegancka. Taki fajny męski rekwizyt...

Co? Aha, ta papierośnica. Więc właśnie: nie ma tej papierośnicy. Sięgnąłem do lewego zanadrza — tam ją wkładałem wychodząc, stałem o tutaj przy szafie, zmieniając marynarkę i razem z grzebieniem przełożyłem papierośnicę. Jej miejsce jest zawsze w lewym zanadrzu. Wkładając sprawdziłem jeszcze zawartość. Mało kto nosi dzisiaj srebrną papierośnicę, nie? No widzisz. Więc tym bardziej nie mogę się mylić. Była, a nie ma, kamień w wodę.

Oczywiście, ten drugi gość. Nie mam złudzeń. Tak się szybko poderwał i te jego oczy i w ogóle. Zdaje się, że go częstowałem papierosem przy kawie, pewnie wtedy się zdecydował. Cóż z tego, że mam adres? Wyprze się i koniec. Najwyżej mu nasobaczę listownie, chociaż i za to można mieć potem przykrości. Taki drań, no pomyśl, co?

A teraz poszukajmy. Nie mam żadnych wątpliwości, ale chcę dowieść samemu sobie, że przecież wiem co robię i pamiętam, do wielkiej Anielki! Pomożesz mi, Jasiu? Czekaj, tutaj w szafie to ja sam, posiedź chwileczkę, zaraz wyciągnę resztę żytniówki i chlapniemy sobie po jednym pod fistaszki. Ale przetrząsnę wszystkie łachy, żeby się odczepić od najgłupszych podszeptów... Proszę bardzo! z tej marynarki ja wyjąłem i oczywiście tu nie ma. Nie może być. W tej nie chodzę od paru miesięcy, ale sprawdzimy, niech szlag trafi. Tutaj też... tu... Nie ma, no jasne, skąd? To by chyba było...

No, szafę mamy z głowy. Na półce z bielizną przecież... co? Rany boskie. Nie śmiej się do cholery... Przepraszam cię. Nie śmiej się. Nie śmiej się, bo mnie szlag trafi! Przecież włożyłem w lewe zanadrze, tutaj, w to zanadrze, do wielkiej... Wcale nie otwierałem tej części szafy. Po cóż bym ją otwierał? Chodziłem od rana w tej samej koszuli. I wczoraj też. Przecież... Jasiu, powiedz coś, przecież mnie znasz... Zobacz! To ta sama srebrna papierośnica.

Uff... muszę odparować, wybacz. Coś podobnego! Całkiem źle ze mną, co? Dobrze, że założyłeś sobie wreszcie telefon, co będzie jeśli zapomnę własnego nazwiska? Nie śmiej się, rany boskie! Ja cię traktuję jak odsiecz, a ty tak!... W razie czego dzwonię jak w dym. Do nikogo innego bym nie dzwonił, ale do ciebie — jak w dym. No to dawaj, po żytniówce. Aha, tylko zapiszę sobie twój numer W śródmieściu, to pewnie zaczyna się czwórką, co?

Przepraszam. Nie, siedź, chciałem tylko... Tu gdzieś położyłem swojego Parkera. Zanim wszedłeś, pisałem nim w notesie i tu położyłem. Na kartce z zeszytu. Jeszcze odwracałem tę kartkę, żeby sprawdzić czy jest coś na niej napisane, czasem żona wychodząc zostawia mi różne dyspozycje... Nie mam żadnych wątpliwości, tutaj położyłem pióro. Takie srebrno-czarne pamiętasz może...

Siedź, Jasiu, czemu wstajesz? Dlaczego się tak zerwał? Nie chodź, no przecież nie chodź człowieku... I tylko... proszę cię, Jasiu... Zajrzyj jednak do kieszeni... Może przez nieuwagę albo co... Tutaj leżało. Bardzo ładne, solidne pióro... Nie chodź. Poszukaj...

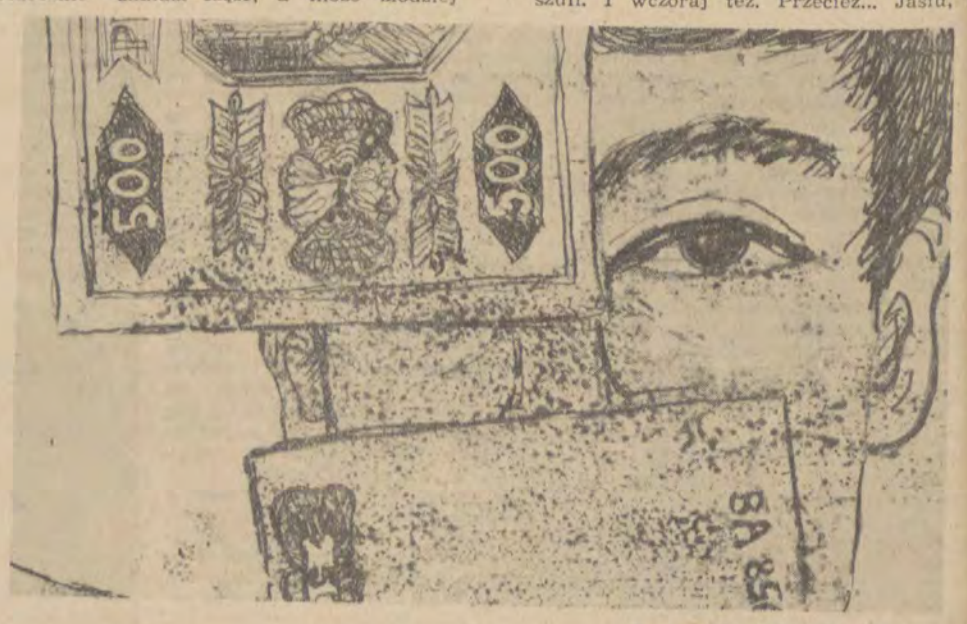

Rys. Magda Kapuścińska

WANDA KARCZEWSKA

„Sen srebrny Salomei"

Zamieszczone w programie do „Snu srebrnego Salomei" fragmenty artykułu Jana Kotta, Marii Czanerle oraz cytat z Byrona: „Rzeź mówi Wordsworth — jest córką Boga; jeśli mówi prawdę, to jest ona siostrą Chrystusa", oraz pewne znaki inscenizacyjne informują widza, że reżyserzy łódzkiego spektaklu tego utworu, chcieli go pokazać przez przemyślenia naszej współczesnej krytyki, przez doświadczenia naszej epoki, nie mniej „gorzkie, krwawe i drwiące" niż ten „Sen" Słowackiego, nie wypreparowując z ciała i krwi dramatu — ducha, to jest mistycyzmu, jako że właśnie „mistyczny Słowacki jest zarazem najbardziej postępowy"; jego uniwersalna ideologia jest dobrze zakotwiczona w trzeźwej politycznej ocenie konfliktów klasowych i narodowościowych powikłań polsko-ukraińskich. Wcześniejsze więc od spektaklu były przemyślenia krytyczno-literackie, ustalające współczesne widzenie „Snu srebrnego", a także nowohuckie i warszawskie doświadczenia teatralne Skuszanki i Krasowskiego. Sama jednak krytyka literacka stwarzając kod myślowy, nie daje jeszcze systemu znaków teatralnych, cudze zaś doświadczenia bywają czasem w odnalezieniu własnego kodu pomocą, częściej — cenniejszym od niej ostrzeżeniem. Zadaniem więc reżyserów było przełożenie języka krytyki i wyniku dotychczasowych cudzych prób inscenizacyjnych na własny język teatralny, co nie jest wcale rzeczą łatwą, zwłaszcza że Minc i Zatorski nie idą niewolniczo za myślą krytyczno-literacką, że idą raczej przeciw dotychczasowym próbom inscenizacyjnym, nie lękając się przy tym samookreślenia przez swoją własną interpretację pełnego Słowackiego, więc Słowackiego mistycznego, zdając sobie chyba sprawę z możliwej dezaprobaty pewnej części krytyki, tej — upraszczającej. Ale zobaczmy co z zamierzeń udało się reżyserom osiągnąć, co zostało w sferze pomysłów niezrealizowanych czy teatralnie nieudanych.

Więc naprzód — scenografia Henri Poulaina. Pełni ona nie tylko użytkową, funkcjonalną rolę. Jest integralną częścią inscenizacji. Scenograf — jak wnoszę z widowiska — starał się środkami plastycznymi uczestniczyć w przemyśleniach intelektualnych widowiska. Stąd: podkreślenie uniwersalizmu „Snu" przez umieszczenie akcji w tzw. potocznie „abstrakcyjnej przestrzeni" (kotary i obojętny horyzont), stosowanie świateł ograniczających iluzję prawdziwości i konkretności fabularnej, brak szczegółowej, opisowej dosłowności historycznej, ukazanie bez osłonek sztafażu teatralnego (podesty, schody), operowanie przedmiotem czy umownym fragmentem scenograficznym jako znakiem określającym jedynie sytuację dramatyczną. (Stół i taboret jako całe wnętrze komnaty we dworze Regimentarza, kawałek pnia brzozy i kilka gałązek — jako cały plener, w którym odbywają się sceny romansowe, parę głazów — pusty step, fotel — sala we dworze w scenie sądu). Wszystko to wraz z kostiumami — chłopskie waciaki, waciakowata odzież husarii, ochronne „panterki" (mające poza tym za zadanie wnieść element drapieżności, brudu rzezi, smaku prawdziwej wojny i — nawiązania do współczesności) uświadamia widza, że sprawy podobne, jak te w „Śnie srebrnym Salomei", mogą się dziać zawsze i wszędzie.

Inne znaki, symbole, dają plastyczny wyraz uczuciowego i intelektualnego stosunku do postaci, do ich reakcji myślowych, czynów i do problematyki „Snu". Jest to monstrancyjnie barokowy, niemal rokokowy, rozdęty na całą tylną ścianę emblemat królewski, orzeł królów saskich, ciążący nad sceną, jakby nad tą całą krwawą sprawą polską, szlachecką i chłopską; są tym znakiem — symbolem — jak ulepione z cukru barokowe chmurki, fotoplastikonowo płaskie i nieruchome, ironicznie dodukrzające sentymentalne sceny romansowe i końcową szopkową farsę; są „ręce miłosierdzia", symbol zakonu Jezuitów, rozegrany w ironicznym zderzeniu z okrutną konsekwencją sceny jakiej towarzyszy. Jest jeszcze inna kategoria znaków, która poza tym, że wraz z kostiumami stanowi próbę ukazania „Snu srebrnego Salomei" na tle zderzenia dwóch kultur, wschodu i zachodu, ma specyficzne znaczenie w spektaklu. To ikona (zamiast cerkiewki) oraz wyprowadzone z ikon barokowo-wschodnie anioły. Anioły te mają w „Śnie" wielorakie znaczenie: są aktorami-maskami, grającymi rolę „duchów", „głosów", „widzeń", Łaski, Odkupienia, a także są upersonifikowaniem idei mistycznej. I właśnie przede wszystkim te „anioły" w swojej stylistyce jasełkowej sprzeczne z realizmem krwawej rzezi, są elementem najbardziej niepokojącym artystycznie i na pozór niespójnym w łódzkim spektaklu „Snu", „Snu" przecież właśnie uderzającym niespójnymi stylistycznie poetykami.

Można by pomyśleć, że tombakowe skrzydła tych grubawych aniołków i ich sposób mówienia stylizowany na naiwny prymityw ludowy, są próbą sprowadzenia mistyki „Snu" do folkloru ludu ukraińskiego, — pisze o takiej propozycji widzenia mistyki Maria Czanerle; moim zdaniem jest to ograniczanie znaczenia systemu metafizyki w dramatach Słowackiego. Ale inscenizatorzy zdają się tu mierzyć gdzie indziej: tombakowe, jak z jasełkowej pozłotki, skrzydełka aniołów, takież m. in. tombakowe skrzydła husarzy dają plastyczny wyraz próbie scalającego, jednolitego widzenia „Snu srebrnego Salomei", stylizacji na szopkę. Stylizacja szopkowa, a więc drwiący stosunek zarówno do podejrzanej sensowności i logiki Historii, moralności polityki, jak i do systemu mistycznego i jego morału (przez rzezie, krew i męczeństwo oczyszcza się pierwiastek duchowy, prowadząc do pełnego wyzwolenia narodów i ducha ludzkości) pozwala się nam pogodzić z tą zrazu niepokojącą próbą ujęcia w kształt zmysłowy (anioły) tego, co irracjonalne, nadzmysłowe. Robić to można istotnie jedynie w konwencji drwiącej, szopkowej. Inaczej byłoby to zwykłym oleodrukowym kiczem, jakimi bywają na przykład niektóre filmy amerykańskie, oparte na biblijnej tematyce, żywotach Chrystusa itp.

Ta poetyka drwiny nie kończy się rzecz jasna na znakach plastycznych, obejmuje ona także m. in. charakterystykę postaci. Wprawdzie Minc, analityk i teoretyk, uważa np. Regimentarza za jedyną postać pozytywną (stąd ta drwina zapewne ma zabarwienie liryczne), ale Minc — praktyk, reżyser, zdradza Minca teoretyka. W moim odczuciu Regimentarz (Wojciech Pilarski) jest od samego początku leciutko śmieszny, przerysowany właśnie w tym, co bywa zazwyczaj banałem i sztampą w kreowaniu postaci polskich szlachciców: w szerokim geście, pańskości (omalże nie królewskości) tonu, w szlacheckiej pewności siebie, w sposobie chodzenia, noszenia stroju, jakimś zabawnym puszeniu się, ba nawet w samym stroju. Ta lisiura na głowie! Jest to oczywiście logiczna konsekwencja śmieszności postępowania Regimentarza, zawartej w samym tekście Słowackiego. Jakiś ten Pan Stempowski podejrzanie zabawny w swoich zalotach do księżniczki, uporczywych, namolnych wprost: tam się krew leje, a on z ukolorowanymi tyradami o uczuciach syna „usychającego z afektu" do pięknej panny, notabene najodpowiedniejszej do złapania na syf nową. Wojciech Pilarski świetnie prowadzi tę postać przez wszystkie płaskości i wzniesienia tej roli aż po straszny, z jakąż wielkopańską dumną pewnością swej racji polskiej, szlacheckiej, okrutny sąd nad przywódcami buntu i nad Semenką, którego na oczach widzów każe obwiązać w słomę, owinąć łańcuchami i nieomal oblać tutaj smołą i podpalić. Piszę nieomal, bo za chwilę i tak reżyser pokaże nam w głębi sceny na tle ciężkiego ołowianego horyzontu biegnącą w płomieniach postać (tę cechę „teatru okrucieństwa" Minc i Zatorski zademonstrują jeszcze w paru innych miejscach: np. prowadzenie na sznurach i bicie nahajami Leona — Jan Zdrojewski). Na marginesie trzeba dodać uzupełnienie, że reżyser nie odbiera przy tym wszystkim Regimentarzowi p o z o r ó w r a c j i, jako dramatis personae, nie odbiera też racji kozactwu, ludowi, osiągając przez to tragizm, wynikły z niemożliwości pogodzenia w określonym systemie politycznym dwu przeciwstawnych racji.

Przerysowany jest także w geście, w tonacji, w tym, co kozackie, Semenko, symbolizujący lud ukraiński w jego przywódcach. Ten Semenko (Eugeniusz Kamiński) jest po chłopsku twardy, rewolucyjnie buntowniczy, gniewny, gorzki, dumny, pogardliwy dla panów, rozjątrzo

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Pasterz i morze

Kazimierzowi Świegockiemu

Kołowrót słońca niebo przewija na morze. Błękitna owca za owcą się wełni.
Juczne stado z przestrzenią upartą na grzbietach rzeźbionych wciąż podąża ku tobie, a nigdy nie przychodzi.
Żadne zwierzę tu sobie nie wierzy, porzuca siebie, wypienia się, a może powraca w inną a tę samą owcę?
Tu wszystko jest niczym a jednym.
Niezmieniona trzoda twoja, poczęta za widzeniem, a skończona u stóp twoich, głód swój wypędza na jałowe brzegi...
Cóż tu śpiew twój z lądu, pasterzu morza, gdy stąd już trzody tej dalej na ziemię nie wyprowadzisz?

Kołobrzeg, w marcu 1965 r.

ARS poetica

Zapaliłem zapałkę —
— A wyrósł las ognia.
Odtąd drwale pukają do lasu tego
I tylko echo im odpowiada:
„Rozniecа się las.
Pierwszy las wyobraźni,
Który wpierw drzewa pochłonął,
Zanim się narodził".

20. II. 1966.

Kompozycja spiralna

Gałąź wyprowadza się w kwiat,
Kwiat kuli się w owoc,
Owoc trawi powietrze.
Gdy w sadzie dopala się jesień,
Powietrze drąży owoc.
Zwinięte rozwinięciem
Koło.

1965 r.

TADEUSZ GALANT

Do Leopolda Staffa

Brzaskiem, gdy w lesie słońce zbudzi już słowika
I światłem jego drzewa okryją swe czoła —
Wtedy Twa muza, jak cień tych drzew mnie przenika,
I Twym Poeto głosem rozbrzmiewa dokoła.

Chciałbym być wiatrem i po ziemskim gonić globie
I Twojej lutni wielkiej w świat posyłać dźwięki...
Chciałbym cieniem łagodnie pokłonić się Tobie,
Potem Twe wiersze, wiersze jak chleb brać do ręki.

Łódź, dnia 18. 9. 1956 r.

Z ARTUREM SANDAUEREM
rozmowa o krytyce literackiej

Dalszy ciąg ze str. 1

jest pan raczej zwolennikiem Irzykowskiego niż Boya. Czy tak?"

ARTUR SANDAUER:

— W pełni przyznaję się do dziedzictwa Karola Irzykowskiego. Był to bowiem krytyk rzetelny, dociekliwy i nade wszystko niezależny. Ale Irzykowskiego zniszczyła nasza rzeczywistość. Jego i Brzozowskiego zniszczyło środowisko literackie, które nie mogło znieść ich niezależności. Przyjęto głupie i oszczercze oskarżenia Brzozowskiego. Ale terror środowiskowy nie jest, jak wiadomo, rzeczą nową. Dzieje się tak zawsze w sytuacji, kiedy krytyk nie idzie na usługowość, kiedy nie świadczy usług koleżeńskich.

„Jakie tedy widzi pan wyjście z tej sytuacji, jakie są możliwości poprawy?" — pytam.

ARTUR SANDAUER:

— Nasza krytyka jest zaangażowana na fałszywej ścieżce. Czasami potrzeba tylko małego pchnięcia, żeby ją skierować na lepszy tor. Ogólnie rzecz biorąc, mamy lepszą sytuację, niż w okresie międzywojennym. Młodzież nie ma kompleksów nacjonalistycznych. Cechuje ją skłonność do pragmatyzmu i pozytywizmu, nawet do pewnej apolityczności. Młodzi są po prostu Polakami, nie bębnią wciąż o patriotyzmie, są normalni, albo po prostu normalnieją.

„Czy stan ten będzie miał wpływ na sytuację krytyki?" — mieszam się znowu.

ARTUR SANDAUER:

— Sądzę, że tak. Ale na razie krytyka nasza wciąż świadczy koleżeńskie usługi. Chodzi o to, żeby Władziowi czy Jasiowi nie zrobić przykrości. Wszystkie inne grzechy blednią wobec tego zjawiska. Z tak dobrze zapowiadającej się niegdyś grupy młodych polonistów krakowskich, zrealizował oczekiwania jedynie Jan Błoński. Jest to krytyk umiejący pisać, ze zdrowym podejściem do problemów literatury. Co do Andrzeja Kijowskiego, uważam, że jest on zanadto snobistyczny. Po przeczytaniu jego artykułu nic w nas nie pozostaje, nie wiadomo dobrze, o co mu chodzi, jakie jest jego stanowisko.

Jeszcze jedno pytanie na koniec: „Kogo z najmłodszych krytyków wymieniłby pan jako dobrze zapowiadającego się?"

ARTUR SANDAUER:

— Trudno mi o tym mówić już choćby dlatego, że jedni pisali o mnie dobrze, inni źle. Wymienię jednych, powiedzą, że się wywdzięczam, wymienię drugich, zarzucą mi, że pragnę odpłacić pięknym za nadobne. Oczywiście krytyk może i powinien nawet nie liczyć się z tym. Byłoby to jednak możliwe w obszernym artykule, gdzie mógłbym sądy swoje szczegółowo wyłożyć. Natomiast w krótkim wywiadzie i rozmowie istnieje niebezpieczeństwo zbyt sumarycznego potraktowania sprawy, a tego chciałbym jednak uniknąć.

Rozmowę zanotował:
JAN KOPROWSKI

POLONICA

PISARZE ROSYJSCY POLSKIEGO POCHODZENIA

Ukazała się pokaźna, ponad 700 stron druku licząca, bardzo ciekawa publikacja „Sowietskije pisatieli", tom III, zawierająca autobiografie pisarzy zarówno rosyjskich jak i republikańskich. Bogactwo życiorysów, bogactwo szczegółów, zdumiewające losy polityczne niektórych autorów czynią z tej publikacji rzecz godną naszej uwagi. Zainteresowały nas zwłaszcza polonica — pisarze rosyjscy pochodzenia polskiego. Oto, dla przykładu, Wacław Wacławowicz Borowski, pisze o sobie: „Urodziłem się w Moskwie, 27 października 1871 roku. Rodzice — Polacy i katolicy". A oto Jurij Karłowicz Olesza, syn — jak sam pisze o sobie — szlachcica, Polaka, drobnego urzędnika akcyzy. Inni, jak Gałan czy Tank wyrośli i wychowali się w środowisku polskim. W książce, o której mowa znajduje się również autobiografia Wandy Wasilewskiej.

KALENDARZ DLA POLAKÓW W CZECHOSŁOWACJI

Dorocznym zwyczajem ostrawskie wydawnictwo „Profil" wydało w ostatnich dniach „Kalendarz Śląski" na rok 1967. Jest to publikacja wydawana w wysokim nakładzie (11 000 egz.) i bardzo wśród Polaków w Czechosłowacji popularna. Sprawia to m. in. fakt, że jest to pewnego rodzaju antologia utworów poetów, prozaików i publicystów związanych z polskim środowiskiem literackim w Czechosłowacji.

W najnowszym roczniku, obok publikacji niektórych autorów z Polski, znalazły się więc wiersze H. Jasiczka, Wł. Sikory, W. Przeczka, G. Pyszki, proza Wł. Sikory, A. Dostala, A. Mańki, W. Bergera, A. Wawrosza, publicystyka J. Rusnoka, J. Mazurka i in.

Całość zredagował znany literat czesko-cieszyński H. Jasiczek. (er)

KSIĄŻKI NADESŁANE

Tadeusz Stępowski — OD WIELUNIA DIABEŁ HULA — WŁ. Cena zł 20.

WŁÓKNIARZE ŁÓDZCY, MONOGRAFIA — WŁ.

Adam Bahdaj — ORDER Z KSIĘŻYCA, WŁ. Cena zł 18.

BIBLIOTEKA POETÓW 1966 r. — WŁ. Cena zł 30.

Wacław Sieroszewski — BAJKI, W. Lit., cena zł 21,

Maria Szypowska — WIADRO PEŁNE NIEBA, LSW, cena zł 13,

Klara Jarunkova — JEDYNACZKA, Iskry, cena zł 11,

MOJA DROGA W DWUDZIESTOLECIU, W. Zw., cena zł 40,

Leopold Lewin — U PRZYJACIÓŁ, W. Lit., cena zł 40,

Tadeusz Jaroszewski — LALCYZACJA, Iskry, cena zł 8.

Stanisław Wyspiański — DZIEŁA ZEBRANE, t. 14, W. Lit., cena zł 31.

Jan Kott — ALOES, PIW, cena zł 12.

SPEKTAKLE tygodnia

		widzów
	Film	
WISŁA		
POLONIA	„Sposób na kobiety" 30 seansów	8 412 — 65%
	„Trema" 25 seansów	8 700 — 50%
	Teatry	
NOWY	„Sen srebrny Salomei" 2 spektakle	1 000 — 75%
	„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 2 spektakle	1 400 — 100%
NOWY Mała Sala		
	„Ojciec" 2 spektakle	400 — 100%
	„Anioł na dworcu" 2 spektakle	300 — 75%
	„Indyk" 2 spektakle	400 — 100%
POWSZECHNY		
	„Mocne uderzenie" 2 spektakle	1 300 — 99%
	„My fair lady" 2 spektakle	1 320 — 100%
JARACZA		
	„Namiestnik" 2 spektakle	1 260 — 100%
	„W pustyni i w puszczy" 3 spektakle	1 890 — 100%
7.15		
	„Piekło Izabelli" 2 spektakle	760 — 90%
	„Taka noc nie powtórzy się więcej" 3 spektakle	1 266 — 100%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają procentowy stosunek ilości widzów do ilości miejsc na widowni.

POLONICA

ny krzywdami obdzieranego przez Gruszczyńskich i batożonego ludu: pogardzany przez Leonów i tym bardziej ich nienawidzący. To nie są żadne postacie nadrealistyczne ze snów, to typy krwiste, mięsiste, o gwałtownych reakcjach, silnym napięciu uczuciowym. Ta szczególna wyrazistość rysunku postaci przejawia się już w pierwszej scenie spektaklu: Semenko w złotym hetmańskim żupanie stoi tyłem do widowni, na szeroko rozstawionych nogach, wpatrzony w ten rozdęty na całą ścianę srebrny, a raczej ołowiany emblemat królewski, orła i mówi: „Był ja niegdyś wychowany na hetmana, nie na chłopa, choć syn Gruszczyńskiego popa..." po czym podbiega szybko i wbija nóż w orła! Minc i Zatorski, dokonując małego przetasowania tekstu, wchodzą tym samym od razu im medias res dramatu, niczym w amerykańskim westernie; eksponują przede wszystkim w ten sposób to, co ich najbardziej interesuje w „Śnie srebrnej Salomei", nie romans dwóch panienek, ale tragiczny spór dwóch ścierających się sił.

Jest w rysunku nie tylko Semenka czy Sawy (Andrzej May), ale także w pojedynczych małych epizodach kozackich — dzikość, zachłyśnięcie się oparami krwi, mordem, rzezią, cierpieniem zadawanym i branym; to samo zresztą u szlachty niosącej w odwecie za śmierć Gruszczyńskiego (Zbigniew Józefowicz) śmierć setkom tysięcy chłopów. Jest w tym przerysowanym, zagęszczeniu przeżyć, właśnie owo mistyczne upojenie się męczeństwem, ale także — owszem — świadomie stosowana stylistyka teatru Artauda". Jest to jednocześnie chłodne, ostre widzenie namiętności ludzkich, ich ślepej niszczącej siły, nie dążącej w końcu do czego innego, jak do wyładowania się, samospalania siły, bezsensownej politycznie, prowadzącej w końcu nie do żadnego rozstrzygnięcia tragicznych konfliktów, ale do amoralnego zakończenia. Marzenia lirników ukraińskich o zgodzie i jedności Ukrainy z Polską zostaną utopione we krwi, na pół wypowiedziana — zawiśnie w powietrzu — niedokończona przepowiednia o podobnej zgubie Polski i w końcu tragedia zamieni się w tragifarsę. Jeszcze tylko Regimentarz odprawi komedię sądu nad samym sobą, przykazawszy wnieść trupa Gruszczyńskiego (wnoszą go na fotelu); w szerokim, kordialnym geście i tonie zwróci się z owym staropolskim, starannie wyakcentowanym podwójnym „ll": „Szkolny mój kollego!", wyciągnie prawicę żywą, do martwej ręki trupa, będzie przyklepywał tę rękę, synowi poleci krzyżem się rzucić, błagać o przebaczenie, sam wbije karabelę w podłogę u stóp trupa, każąc mu ją wziąć i pomścić jego Gruszczyńskiego, krzywdy. Ucieszy się, że trup nie chwyci broni i nie zetnie im łbów, poczyta to szybko za znak przebaczenia. I tak przyklepie swoje przewiny. Dopiero tu Regimentarz jest groteskowy, w tej błazeńskiej inscenizacji, ale śmieszność ta utrzymana jest w kategoriach prawdopodobieństwa fabularnego, konsekwentna w rysunku całej postaci. Minc, dawszy wcześniej scenę z Wernyhorą (Zygmunt Malawski), a potem lekki skrót zaraz po scenie sądu — osiąga tu zagęszczenie sytuacji i tym większy efekt groteskowy. Podnosząc się od trupa Regimentarz przechodzi niemal od razu do toastu weselnego i tak ta szopka zamienia się w frenetyczną szopę narodową: nad ziemią jeszcze ciepłą od krwi pomordowanych panowie szlachta wznoszą toast weselny wyciągniętymi złocistymi karabelami, grzmią fanfary, opada zasłona z barokowych lukrowanych chmurek, spomiędzy których świecą monstrancyjnie promienie „zwycięskiego" królewskiego orła polskiego, a dwa anioły wnoszą nadpalony chochoł usmażonego okrutnie Semenki, którego duszyczka oczyszczona w krwi zbywszy się w męce swego ciała, zostanie, zapewne, za chwilę uniesiona do nieba. Jest to scena niemal operetkowa, rzeczywistość skrzeczy w jawny sposób w pozorach poetyckiej antypanatadeuszowej sielanki. Drwiący znak zapytania nad sensem tej całej krwawej historii.

Pozostaje jeszcze kwestia, czy tak zwana szeroka widownia chwyci tę tonację drwiny? Obawiam się że nie. Szeroka widownia weźmie rzecz całą na serio, będzie się wzruszać, przeżywać głęboko i bawić, jak dobrze zrobioną mięsistą wampuką z buńczuczną szlachtą, dziarskimi kozakami, romansowymi pannami, z żywą przygodową akcją i pobłogosławionym przez bożych wysłanników happy-endem o ułatwionym, westernowym morale: brzydcy buntownicy zostali ukarani, szlachetni rycerze patrioci zwyciężyli, kopciuszek — Salusia (Wanda Chwiałkowska) wychodzi za swojego królewicza, męski kopciuszek, Sawa, znalazłszy zgubiony przez księżniczkę pierścionek, otrzymuje w nagrodę rękę księżniczki. Wiwat państwo młodzi! Ale może to jest właśnie cena, za którą szkolny i nudny Słowacki stanie się ulubionym autorem młodzieży i szerokiej widowni kochającej melodramat, bebechowate wstrząsy i pomieszanie obfitych ślozów ze śmiechem. Takie przyjęcie spektaklu obserwowało się częściowo już na premierze prasowej, takie przyjęcie bywa losem cienko robionej roboty artystycznej i tej konwencji, która przez kpiące przerysowanie banału odświeża i podnosi ten banał do rangi dającego ciekawe efekty środka artystycznego. Jest to zresztą poetyka Mrożka. Rozciągnięta na cały tekst, na większość postaci, konwencja ta pozwoliła reżyserom na takie uwspółcześnienie „Snu srebrnego Salomei", które nie zubaża dzieła. I należy raczej podziwiać Minca i Zatorskiego za nieprzekraczanie wąskiej granicy drwiny, za odcięcie się od totalnej groteski, z jaką się spotykamy w niektórych współczesnych inscenizacjach klasyki, groteski Zielonej Gęsi, która walczy po „esteesowsku" z postaciami dzieła i ich racjami, redukując je do rzędu kukieł, sens dzieła sprowadzając do zawężonych płaskich znaczeń, przeczących systemowi znaczeń połączonych dzieła.

Podsumowując: jest w łódzkim spektaklu obok wielu pięknych osiągnięć, więc obok także starannie na ogół mówionego, niesprozaizowanego wiersza, obok przemyślanego w układach grupowych ruchu scenicznego, bardzo ciekawej ilustracji muzycznej Zbigniewa Turskiego, opartej na motywach dumki ukraińskiej o panu Gruszczyńskim z „Beniowskiego" i na atonalnej muzyce, obok kilku udanych ról (m. in. Pafnucego, w wykonaniu Bolesława Nowaka), jest także parę niedobrych scen, jak ta nad trumną Salusi z Gruszczyńskim i Leonem; wizyjność tej sceny, potrzebnej Mincowi do innych celów niż zabawa w samą wizyjność, nie wychodzi; staje się ona płaską ilustracją opowiadania Sawy. Jest parę z bardzo niedobrego teatru, zbyt już melodramatycznych gestów Semenki i Pafnucego, jest przede wszystkim nie objęta poetyką drwiny, zbyt konwencjonalnie liryczna i słodka Salusia, ta przecież anty-Zosia, osóbka drapieżna w swoim egoizmie, która dla własnych romansowych celów nie ocala przed śmiercią swej rodziny i lezie skwapliwie w łożnicę Leona, zapomniawszy upokorzeń ze strony panicza, który napocząwszy tę pannę respektową odstąpił ją był właśnie dopiero co słudze. Pięknie wyglądająca, dobrze mówiąca wiersz, bardzo chłodna Księżniczka jest przy tym wszystkim za mało ironiczna, nie tylko w szermierce słownej, ale w samoświadomości. Przecież to ona jest głównym motorem rzezi, wprawdzie motorem z przeznaczenia niby, bo z przepowiedni, ale sama nazbyt czynnie dąży do spełnienia się tej przepowiedni, gubiąc celowo pierścień Regimentarza i czekając aż przyniesie go z powrotem ten, który ma się stać jej małżonkiem, przechodząc bez drgnienia oka nad zdradą Ukrainy przez swego kozackiego amanta, „ukraińskiego rycerza", Sawę. Ta autoironia przydałaby się jej tym bardziej, że sama wielokrotnie podkreśla „głupstwo", jakie zrobiła, wychodząc potajemnie za Sawę.

Biorąc jednak pod uwagę wszystkie potknięcia i nieudane w realizacji pomysły, trudno nie przyznać, że ten „Sen" drapieżny i — w moim odczuciu — ironiczny, ambitny, jest po „Caliguli" Camusa (Teatr im. Jaracza) na przestrzeni ostatnich lat, który będzie się liczył w łódzkich teatrach. Jest dalszym ciągiem osiągnięć reżyserskich Tadeusza Minca, mówiącym o jego rozwoju, twórczych poszukiwaniach i możliwościach. Warto to podkreślić tym mocniej na marginesie ostatnio prowadzonej dyskusji o stanie łódzkich teatrów. Okazuje się nagle, że w tym teatrze, o którym się mówi, że ma słaby, źle skonstruowany zespół aktorski, są dobrzy aktorzy, a sam teatr może być ciekawym, ambitnym teatrem. Trzeba, okazuje się, dobrze tylko pogospodarzyć ludźmi, którzy są na miejscu, pod ręką, póki się jeszcze ich nie straciło dla miasta, czy dla teatru, lub nie przyczyniło się do rozmienienia na drobne telewizyjne.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Scena ze sztuki Peter Weissa „Marat-Sade".

MARAT — SADE = MARAT — X = MARAT — SADE (Z KOMENTARZEM)

■ Sztuka Peter Weissa o nieco przydługim tytule: „Prześladowanie i zamordowanie J. Paul Marata przedstawione przez zespół teatralny przytułków w Charenton" uznana za najlepszy utwór sceniczny w sezonie 1965/66 przez nowojorskich krytyków grana jest od jakiegoś czasu w Paryżu, gdzie stała się jednym z najważniejszych wydarzeń obecnego sezonu teatralnego.

Sztukę wystawiono w teatrze Sarah-Bernhard pod skróconym tytułem „Marat-Sade". Akcja dzieje się w roku 1808 w szpitalu dla umysłowo chorych w Charenton, gdzie przymusowo przebywa markiz de Sade, umieszczony tam przez bonapartystów za republikańskie publikacje. Markiz wystawia sztukę o zamordowaniu Marata przez Charlotte Corday. Aktorami są pacjenci szpitala. Sztuka przeplatana jest dyskusjami Marata z markizem de Sade na tematy filozoficzne, polityczne i społeczne. Choć padają sformułowania które na pewno nie podobały się bonapartystom, markiz de Sade i aktor grający Marata posiadają przecież „wariackie papiery" chroniące ich przed represjami.

Sztuka Weissa wywołała wielkie zainteresowanie, dyskusje wyrazy podziwu, zachwytu lub oburzenia. Potomek markiza wystąpił do sądu domagając się usunięcia z tytułu sztuki nazwiska Sade i w pierwszej instancji wygrał. Przez jakiś czas więc sztuka nazywała się na afiszach „Marat — X".

Jednak paryski sąd apelacyjny uznał, że domaganie się usunięcia nazwiska postaci historycznej z dzieła literackiego jest bezzasadne. W konkretnym przypadku, aby uniknąć nieporozumień i aby wszyscy wiedzieli, że chodzi o osobę historyczną, a nie współcześnie żyjącą, przy nazwisku Sade należy dodać komentarz wyjaśniający.

DZWON ZE STATKU „SAINT-GERAN"

■ Ostatnio niedaleko wybrzeży wyspy Mauritius na Oceanie Indyjskim odnaleziono na morskim dnie brązowy dzwon ze statku „Saint-Géran", który zatonął ponad dwieście lat temu.

Tragedia żaglowca „Saint-Géran" znalazła swe literackie odzwierciedlenie w powieści Bernardina de Saint-Pierre pt. „Paweł i Wirginia". To właśnie wtedy utonęła Wirginia gdy statek rozbił się niedaleko Ile de France (obecnie wyspa Mauritius).

Opowieść o Pawle i Wirginii ukazała się drukiem w roku 1788. Książka przez długie lata cieszyła się ogromną popularnością. Jej treścią były dzieje miłości dwojga młodych, jej tłem wyspa o bujnej, wspaniałej roślinności i łagodnym klimacie. Paweł był synem wieśniaczki. Wirginia córką arystokratki. Mimo ówczesnych ogromnych różnic społecznych cała ta czwórka (a właściwie szóstka, bo jest jeszcze para służących Murzynów) żyje zgodnie, spokojnie i szczęśliwie z dala od cywilizacji, wśród egzotycznej przyrody. Sielankę przerywa odjazd Wirginii, która mimo oporów, decyduje się pojechać do Francji na wezwanie swej ciotki, która pragnie dać dziewczynie staranne wykształcenie, wyposażyć ją i wydać za mąż. Wirginia, zawsze wierna Pawłowi powraca po kilku latach na Ile de France. Przy zbliżaniu się jednak do wyspy, statek na skutek gwałtownej burzy, rozbija się o skały w odległości kilometra od brzegu. Wirginia nie chcąc zrzucić odzieży przez wstydliwość (jaką zaszczepiła jej cywilizacja) nie może ratować się wpław i ginie w falach. Zrozpaczony Paweł, który był świadkiem śmierci Wirginii, umiera wkrótce z rozpaczy. Niedługo też umierają matka Pawła, matka Wirginii i dwoje czarnych służących.

Mimo tej sentymentalnej treści i naiwności fabularnej Bernardin de Saint-Pierre podróżnik z żyłką awanturnika, znany z licznych przygód miłosnych, kiepski filozof, niepoprawny marzyciel, który ciągle roił o założeniu utopijnej republiki, dzięki powieści „Paweł i Wirginia" wszedł na trwałe do historii literatury. Dzieło jego odznaczało się wyjątkową plastyką i barwnością opisów przyrody, zdolnością autora transponowania zjawisk malarskich na język literatury. Bernardin de Saint-Pierre nie tylko odczuwał przyrodę, ale przede wszystkim ją w i d z i a ł i umiał ją opisać. To właściwie on wprowadził do powieści nadużywane potem w czasach nie tak odległych od naszych, przypisywanie krajobrazowi stanów duchowych bohatera (gdy w duszy bohatera burza uczuć, w przyrodzie także burza).

Oprócz dzwonu ze statku „Saint-Géran" wydobyto w pobliżu wyspy Mauritius z dna kilka srebrnych monet pochodzących z Hiszpanii z XVIII wieku oraz kilka urządzeń dla rafinerii cukru jaka istniała wówczas na wyspie. Według dokumentów znajdujących się w tejże rafinerii ustalono, że statek który wiózł pieniądze i miał na pokładzie ponad dwustu pasażerów zatonął podczas burzy w dniu siedemnastego sierpnia 1744 roku. Uratowało się z katastrofy zaledwie dziesięć osób. Wśród zatopionych były dwie kobiety jedna zamężna, druga panna. Czy to właśnie ona była powieściową Wirginią?

Zapomniana już historia miłości Pawła i Wirginii odżywa po upływie z górą dwustu lat.

Maria i jej zmarły ojciec Gary Cooper.

CÓRKA GARY COOPERA MARZY W KOLORACH

■ Maria, córka sławnego amerykańskiego aktora filmowego Gary Coopera (1901–1961) od kilku miesięcy odbywa podróż poślubną. Jej mężem jest Byron Janis, uważany za jednego z najlepszych pianistów na świecie. Ostatnio dał on dwa koncerty w Paryżu. Maria zaś przygotowuje się do swej pierwszej wystawy obrazów, jaka wkrótce otwarta będzie w Kalifornii.

„Chociaż oboje jesteśmy artystami — powiedziała Maria dziennikarzom o swym małżeństwie — nie jesteśmy dla siebie konkurentami. Ja marzę w kolorach, on w muzyce".

JAK ZOSTAĆ REŻYSEREM?

■ Reżyser filmowy Joseph von Sternberg (72 lata), który niegdyś odkrył dla filmu Marlenę Dietrich, jest obecnie profesorem kinematografii na uniwersytecie w Los Angeles. Powiedział on, że jego słuchacze zadają mu często pytanie: „Jak zostać reżyserem?".

Sternberg odpowiada im na to, że jest to najtrudniejszy zawód ze wszystkich na świecie. Trzeba mówić biegle sześcioma obcymi językami, znać historię sztuki od samych jej podstaw, poznać najważniejsze systemy filozoficzne i przeczytać co najmniej dwa tysiące dzieł traktujących o najrozmaitszych zagadnieniach. Gdy ktoś delikatnie zwraca profesorowi uwagę, że przecież on sam nie posiadł takiej wiedzy, wówczas znany reżyser odpowiada: „No, tak. Ale ja nigdy i nikomu nie zadawałem pytania, co trzeba zrobić, aby zostać reżyserem".

NOWA KSIĄŻKA O WOLTERZE

■ Sześć lat pracy poświęcił Jean Orieux dla napisania biografii o Wolterze. Książka ma 800 stron i ukazała się w Paryżu.

Dzieło to jest podobno tak wybitne, że sam prezydent de Gaulle przesłał autorowi swoje gratulacje. Biografia, jak zapewniają recenzenci, mimo że jest poważnym, naukowym opracowaniem, napisana jest żywo, nawet z humorem. Czyta się tę książkę jak ciekawą powieść. Autor nie pominął obfitego materiału anegdotycznego.

Francois-Marie Arouet, który potem podpisywał swoje dzieła jako Voltaire, urodził się w Paryżu w dniu 21 listopada 1694 roku. Niemowlę było tak słabe, że lekarze nie wróżyli mu nawet godziny życia. A przyszły pisarz dożył lat osiemdziesięciu czterech.

Wolter, wieczny wędrownik, spoufalony z królami i najwybitniejszymi postaciami swej epoki, wtrącony do Bastylii, monarchista, a zajadły przeciwnik instytucji feudalnych, Wolter szyderca i wyszydzany, pisarz, który przygotowywał z żarliwością grunt intelektualny i moralny dla rewolucji, wróg ateistów, ale gwałtowny krytyk religii i dogmatów, Wolter poeta, którego najlepszymi dziełami są powiastki prozą, pamflecista, dramaturg, człowiek interesu handlujący zegarkami, kochanek wielu kobiet, z których największą rolę w jego życiu odegrała markiza de Châtelet — oto postać skomplikowana, ciekawa, wyrastająca ponad swój czas i swoją epokę. Był to człowiek szlachetny i wielki, ale bywał egoistyczny i małostkowy. Pozostanie dla nas zawsze jako jeden z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego Odrodzenia. Napisał 78 tomów dzieł. Nie zaznał spokoju nawet po śmierci. Jego mózg sprzedano na licytacji, jego szkielet skradziono z Panteonu.

Zasługą Jeana Orieux jest, że przedstawił Woltera w pełni jego człowieczeństwa, ukazał jego wielkość, ale nie przemilczał jego wad.

Wielkie poruszenie wśród zachodnich nastolatków wywołała wiadomość o nakazie zlikwidowania w przeciągu 6 miesięcy statków-radiostacji, pływających wokół Wielkiej Brytanii i nadających non-stop pop-music. Decyzję taką podjął niedawno rząd angielski, podając za przyczynę to, że statki te, mimo niepozornych rozmiarów, sieją wiele zamieszania na tak zatłoczonym teraz morzu, zakłócając odbiór legalnych radiostacji, a co najważniejsze uniemożliwiają odbiór sygnałów SOS. Zakaz ten wywołał burzę protestów ze strony młodzieży. Ciekawe, czy i tym razem rząd ulegnie pod naciskiem zwolenników piracich radiostacji?...

* * *

Eric Burdon skompletował swój nowy zespół. Oto jego skład: Barry Jenkins-perkusja. Grał w zespole the Nashville Teens i w starym składzie the Animals. Danny Mc Cullock-gitara basowa. Grał już z Jerry Lee Lewisem, John Lee Hookerem, Screamin, Lord Sutchem i Red Pricem. Johnny Weider-gitara solowa. Były członek the Bluesbreakers i Johnny Kidd and the Pirates (szef tej grupy — Johnny Kidd, zginął niedawno w wypadku samochodowym). Tom Parker-organy. Grał poprzednio w zespole the Mark Leeman Five, obecnie jest kierownikiem muzycznym Crispian St. Petersa. Przyłączył się do zespołu tylko na okres występów Crispiana w Australii. Oficjalna nazwa nowo utworzonej grupy: Eric Burdon and the Animals, a pierwsza płyta zawiera utwory: „Help me girl" i „See see river".

* * *

Nowa gwiazda angielskiej piosenki, Cat Stevens, został odkryty przez Mike Hursta, byłego członka trio the Springfields. Ten zaledwie 17-letni chłopak, nagraniem „I love my dog" znalazł się na angielskich listach przebojów i przepowiada mu się dużą karierę. Stephan Georgion, bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko, urodził się w Londynie, lecz do szkoły uczęszczał w Szwecji. Cat gra na fortepianie i perkusji. Mieszka w samym sercu londyńskiego Soho, nad restauracją prowadzoną przez jego ojca.

* * *

Jak zapowiedziała radziecka telewizja, jeszcze w tym roku odwiedzi ten kraj brytyjska grupa the Kinks. Będzie to pierwszy występ zachodnich wykonawców młodzieżowych w ZSRR, od czasu koncertu grupy piosenkarzy włoskich z Rita Pavone i Gianni Morandi na czele, w lecie ubiegłego roku.

* * *

Zespół Polanie może poszczycić się kolejnym udanym tournée. Dużym sukcesem było zajęcie przez ten zespół pierwszego miejsca w festiwalu grup młodzieżowych, który odbył się w znanym hamburskim klubie Star, oraz nagranie płyty dla wytwórni Polydor.

ANTONI SZRAM

Studenci

Kartki z wystawy

Wiara w ceremonie artystyczne, pęd do wielkich konfrontacji budzi u artysty lęk, nie stwarza jednak nikomu podstaw do uznania go za odważnego. Inaczej w przypadku, gdy się jest jeszcze uczniem i prowadzi skrupulatne badania materii plastycznej, studiuje recepty jak przyrządzać nowoczesne obrazy. Jednak imponują nam w końcu ci dwaj młodzi studenci łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych: Andrzej Rosé i Jerzy Woźniak — debiutujący pokazem malarstwa w Klubie MPiK przy ul. Narutowicza 8. Imponują decyzją, odwagą, prezentując twórczość, której nie wahają się poddać ciosom krytyki publiczności. Bo w końcu czeka ich ostra ocena, na którą nie zawsze student jest dostatecznie przygotowany. W uznaniu zasług położonych w Szkole nie potrzeba od razu wyróżniać poza Szkołą. Z biegiem czasu — może. Teraz jedynie pozostaje cała masa pytań, na które nie dajemy odpowiedzi. Osobowość młodych malarzy realizuje się aktualnie. Miliony oczu zawieszone na obrazie, przykładowo: Andrzeja Rosé — oczu wyczekujących aż plamy, linie i barwa przemówią, czeka. Czeka, potem rozmowa, dyskusja (na werniksażu była płomienna). Tylko, że w takiej sytuacji powiedzieć choćby dwa sensowne zdania, bywa niesamowicie trudno. Bo obrazy Andrzeja Rosé tchną uniwersalizmem i wielu biada nad tego rodzaju uniformizacją. Ale nie da się też zaprzeczyć, że niektóre oleje charakteryzują się wyborem znaków plastycznych opanowując z powodzeniem wyobraźnię widza. Podobno Andrzej Rosé umie pięknie malować w konwencji przedstawiającej, potocznie zwanej wyjściową. Mamy słowo profesora Mariana Jaeschke. Wierzymy. Wiara czyni cuda. Jego uczeń skłania się ku gamie kolorystycznej dziedziczonej po profesorze. Wizja artystyczna — prawdopodobnie pod urokiem malarstwa ściennego — dąży do dekoracyjnych uogólnień i zainteresowania substancją malarską powierzchni płótna. Dominują tu pewne formuły mieszania kolorów, rozświetleń, wzięte z repertuaru szkolnych kodeks. Niemniej, zaskakują relacje barwne świadczące o twórczych penetracjach w krainie plastyki, nabierają swoistej poezji, dalekie od typowości.

Drugi: maluje zgoła tak samo, to znaczy, że obraz nie przedstawia nic Dopiero w zestawieniu ze sztuką profesora Zdzisława Głowackiego można wyłowić niezmiernie interesujące różnice idei, pomysłów, rozpoznajemy łatwo pracownię profesora. Dobrze czy źle, pozostawiam ocenę czytelników. Jedno mnie niepokoi: brak nastroju i zaproszenia do kontemplacji. Sztuka Jerzego Woźniaka uzyskana drogą trudną, obfituje w ryzykowne pułapki. Ich rejestracja (naliczyłem z dziesięć) odebrała mi złudzenia, nawet rozczarowała. W kształcie materii malarskiej pełnym tajemniczych domyślników, na macalnie widać adaptowany alfabet znaków plastycznych dawno wymyślony przez Zdzisława Głowackiego. Dobrze czy źle? Chwilowo chyba dobrze. Ale gdyby tak repertuar form i sposób przedstawiania nieznacznie, lecz sprawnie rozwinąć, położyć nacisk na mówier, na rzemiosło! Niestety, na razie bezdźwięczna metaforyka barwna, irytujące mieszanie technik w jednym dziele doprowadziło mnie do surowego znudzenia.

Jednak nie śpieszmy się z oceną. Czasu zostało dużo, a odwaga też liczy się na rynku sztuki.

MARIA KORNATOWSKA

KONCERT na surmy narodowe

Jak dowodzi doświadczenie, tkwią w nas jeszcze pewne niewyżyte skłonności do kultu jednostki. Rzecz się tylko nieco skomplikowała ponieważ rozmaite środowiska mają swoje jednostki, których kult uprawiają. I moda na te jednostki też się zmienia. Na stolatki uwielbiają Szczepanika, sportowcy — Irenę Kirszensztein, a sfery intelektualne do niedawna czciły Ewę Demarczyk, a ostatnio oddają się wyłącznie kultowi Jerzego Skolimowskiego. Ponieważ sfery intelektualne dysponują środkami masowego przekazu, więc kultowi Skolimowskiego nadano szczególnie imponujący charakter.

Czasopisma filmowe zaczęły publikować fotosy młodego reżysera w rozmaitych ale zawsze malowniczych pozach. Z profilu i en face, z perspektywy żabiej i ptasiej, pogrążonego w zadumie i uśmiechniętego, w stanie twórczego natchnienia i na co dzień. Trzeba z melancholią zauważyć, że żadna z uznanych piękności ekranowych nie doczekała się takich względów w naszej prasie. Czy ktoś kiedyś widział tyle naraz fotosów Beaty Tyszkiewicz albo Elżbiety Czyżewskiej, nie przymierzając? Okazuje się, że przy dobrych chęciach nawet w Polsce można wylansować gwiazdę filmową, a że nie jest nią Pola Raksa np. ale właśnie Skolimowski, to już tylko kwestia zbiegu okoliczności.

W dodatku, współpracownicy reżysera i różnego rodzaju „świadkowie" w hojnie publikowanych wypowiedziach, dzielą się z narodem swymi wrażeniami na temat Mistrza i tonem wtajemniczonych, pouczają szary tłum czego ma się dopatrywać w jego dziele. O ile ktoś się tego przypadkiem nie dopatrzy, da się zbity dowód swej absolutnej ignorancji i niezrozumienia prawdziwej sztuki.

W obawie przed tak straszliwym i zgubnym posądzeniem nasi krytycy prześcigają się w pochwałach dla „Bariery" Skolimowskiego, zapominając często o tym, że podstawą krytycznej oceny winno być to co rzeczywiście widzimy na ekranie a nie wypowiedzi najbardziej nawet wtajemniczonych współpracowników oraz zbożne intencje samego autora. **Postawa wielu krytyków przywodzi na myśl bohaterów znanej bajki, którzy zachwycali się barwnością, krojem i elegancją szat króla, a król jak wiadomo był nagi.**

Jacek Fuksiewicz w recenzji „Kompleksy pokolenia" zamieszczonej na łamach „Kultury" uznaje oczywiście fakt, iż Skolimowski jest geniuszem kina (gdziekolwiek spojrzy przemienia wszystko w materię filmową), wymienia go jednym tchem obok Felliniego i Godarda i pisze między innymi, że rzeczywistość pokazana w „Barierze" wznosi się ponad fotograficzną odbitkę i ma charakter poetycki, „...w sposób naturalny i oczywisty rzeczywistość ta rozszerza swoje granice, przenika się z rzeczywistością oniryczną, z wizją-snem, tworząc jeden organiczny stop. Stop ten posłuży twórcy jako nośnik treści dyskursywnych, materia rozmyślań, dyskusji, eseju". I dalej o języku „Bariery" — „jest to język współczesnego filmu... który pragnie stworzyć rodzaj filmowego eseju, rodzaj myślenia obrazami filmowymi" itd.

Tak zwykle powściągliwa i surowa w swoich sądach Mariarel pisze na łamach „Odgłosów": „Tego młodego twórcę trapuje przede wszystkim problematyka filozoficzna. Po szukuje on prawdy o współczesnym człowieku, stara się dotrzeć do wyznaczników ludzkiego bytu, rozszyfrować i obnażyć stereotypy, według których układamy sobie życie". I Mariarel nazywa Skolimowskiego filozofem i moralistą.

Mój profesor od filozofii twierdził, że nawet kiedy mówimy „to jest stół", zajmujemy już jakieś stanowisko filozoficzne. Oczywiście, na tej zasadzie można doszukiwać się filozofii i w „Barierze". Zresztą przy dobrych chęciach i poczuciu optymizmu można się wszystkiego wszędzie doszukać. Wiedziona kobieca intuicją Mariarel, nie zagłębia się na szczęście w szczegóły filmu, jako że fakty przeczą czasem teoriom, natomiast Fuksiewicz nie okazał się, niestety, na tyle przezorny. Wymienia więc sumiennie symbole senne, plastyczne i literackie przy pomocy których Skolimowski buduje swój „esej filozoficzny". W razie ewentualnych wątpliwości zapewnia nas solennie, że „Ów ciąg symboli, aluzji i skojarzeń rozłożony na elementy mówi niewiele, w sumie natomiast wraz z sylwetkami bohaterów, wątkami fabularnymi splata się w konsekwentny wywód". Wierzymy autorowi na słowo i czekamy na sens owego wywodu. Fuksiewicz ostrożnie ryzykuje hipotezę, iż „Bariera" przynosi próbę naszkicowania portretu młodego pokolenia, i po długich dywagacjach dochodzi do sedna filozofii filmu czyli... „konfliktu między pokoleniem ojców a pokoleniem synów, jako między tymi, którzy już mają samochody, a którzy dopiero chcą się ich dorobić". Jak powiedział Janusz Gazda w „Ekranie" („Bunt i zazdrość") — „histeria z powodu braku samochodu".

Okazuje się jednak, że marzenie o samochodzie oznacza dążenie do absolutu i żądzę dokonania rzeczy autentycznych a wielkich. Dlatego też, wbrew pozorom, bohater filmu jest „nonkonformistą, maksymalistą, szukającym wartości absolutnych, odrzucającym kompromisy, kłamstwa, nieszczerość". Zaiste, rację miał ten, kto powiedział, że właściwym twórcą filmu jest krytyk. Upojony swoimi onirycznymi wizjami nie troszczy się o szarą rzeczywistość ekranu.

Na szczęście znaleźli się jednak ludzie zdrowego rozsądku, tacy jak Jackiewicz (Życie Literackie), Kałużyński (Polityka), Głowacki (Kultura), którzy nie dali się ponieść własnym marzeniom i dostrzegli miałkość intelektualną filmu Skolimowskiego.

To, iż młodzi ludzie marzą o wielkich czynach nie należy do najbardziej rewelacyjnych odkryć z dziedziny filozofii. Już bowiem starożytni Grecy... Dlatego też młodzi ludzie chętnie biegają na westerny, bo wydaje im się, że nie ma nic piękniejszego i łatwiejszego zarazem niż zabijanie w imię wyższych, a bliżej nieokreślonych racji. I chyba tylko tym można wytłumaczyć kompleks bohatera filmu wobec pokolenia walczących ojców, o którym to kompleksie tyle wypisują nasi zacni krytycy. W gruncie rzeczy, traktowany w tej płaszczyźnie jaką reprezentuje film Skolimowskiego, konflikt pokoleń jest mistyfikacją naszych literatów i filmowców dostarczających w szlachetnym porywie serca alibi dla młodego pokolenia i powodu do rozczulania się nad sobą.

Historia, wbrew rodzimym filozofom, nie składa się z samych wojen, a wojny nie polegają tylko na rzucaniu butelkami z benzyną w czołgi. Niestety, wojna nie jest wcale sytuacją oczywistą, w której wszystkie racje są jasne i jednoznaczne. Ale żeby to zauważyć trzeba być rzeczywiście moralistą. Na wojnie jest mało bohaterów, ale za to dużo ludzi połamanych moralnie i psychicznie. Uczestnikami wojny byli nie tylko „heroiczni" kombatanci, ale i więźniowie Oświęcimia. Wątpię, czy bohater „Bariery" chciałby być więźniem Oświęcimia albo Majdanka.

Sprowadzenie konfliktu pokoleń do konfliktu kombatantów i tych, którzy zostali pominięci przez historię, co nie mają już nic do zrobienia jest kompletnym absurdem, i nie ma żadnego pokrycia w rzeczywistości. Pisze o tym nader przekonywająco w swojej recenzji pt. „W szponach demona pozy". Na marginesie całej sprawy leży pytanie czy to rzeczywiście byli kombatanci są dziś posiadaczami samochodów i czy właśnie dlatego... Ale to już jest temat dla zupełnie innego filmu.

W istocie cała filozofia Skolimowskiego (wyrażona zresztą w dialogach a nie w warstwie obrazowej) sprowadza się do znanego już od czasów Hłaski stwierdzenia, że mimo pozorów cynizmu i bezideowości, w naszej młodzieży tkwią szlachetne i romantyczne porywy. Nasze młode pokolenie to taka sobie bad good girl z klasycznego amerykańskiego dramatu.

Podstawową słabością filmu Skolimowskiego jest to na co zwrócił uwagę w swej recenzji Aleksander Jackiewicz, a mianowicie **oderwanie od rzeczywistości.** To co było istotną wartością „Rysopisu", co tkwi w naturze talentu Skolimowskiego zostało zagubione wśród rozmaitych i w dodatku nieoryginalnych symboli. Tam gdzie Skolimowski puszcza wodze swojemu zmysłowi obserwacji film robi się ciekawy. Nagromadzenie symboli i udziwnień nie przesądza wcale o wartości poetyckiej kina. „Posada" Olmiego i „Czarny Piotruś" Formana są filmami poetyckimi chociaż nie wykraczają ani o centymetr poza pole widzenia dostępne każdemu śmiertelnikowi.

A propos symboli, Stanisław Janicki w swojej recenzji (Film) pod wymownym tytułem „Szukacie! Czy znajdziecie?" wnoszącej zresztą zasadniczy wkład w dzieło konstruowania kultu Skolimowskiego, podkreśla jego niezwykle bogatą, fascynującą wyobraźnię, której przejawem jest „bogactwo skojarzeń, symboli, metafor". I tu Janicki wymienia gęsi jako symbol zmieszczanienia, walizkę, szablę, obłędny taniec w knajpie itd., itd. No, jeżeli to ma być świadectwa fascynującej wyobraźni... Na zdrowy rozum biorąc dowodzą one raczej solidnej edukacji literackiej i filmowej Skolimowskiego oraz umiejętności zręcznego wykorzystania tradycji narodowej od „Wesela" Wyspiańskiego począwszy a na „Salcie" Konwickiego skończywszy. Reszta jest z Felliniego. Skolimowski odznacza się nie tyle bogactwem wyobraźni, ile bogatą pomysłowością, rodem nie tyle z „Króla Ubu" jak chciałby Fuksiewicz, ile — „rewietki" jak woli Jackiewicz i dodajmy — z doświadczeń teatrzyków studenckich.

Nie mam zamiaru negować możliwości artystycznych Skolimowskiego, ani wartości „Bariery" na tle ogólnego stanu naszej kinematografii. Chodzi jednak o zachowanie pewnych proporcji. Do funkcji właściwie pojętej krytyki należy między innymi pomaganie twórcy w znalezieniu samego siebie, w wykrystalizowaniu jego świadomości artystycznej. Nie wolno zaś wmawiać sobie i innym, że poza każdym zabawnym czy pozerskim konceptem kryją się niezmierzone głębie, aluzje, prowokacje intelektualne itd., których sensu możemy szukać ale czy znajdziemy? Obawiam się bowiem, że wszystkie wieloznaczności, znaki zapytania i niedopowiedzenia „Bariery" wywodzą się z tego, że reżyser w gruncie rzeczy nie bardzo wiedział co chce nam powiedzieć. A chciał to koniecznie powiedzieć, przynajmniej w swoim mniemaniu, szalenie efektownie.

KRONIKA Antytelewizyjna

„PEGAZ" W WYDANIACH PROWINCJONALNYCH

Pretensje nie dotyczą właściwie „Pegaza", redagowanego i prowadzonego przez Grzegorza Lasotę. Programy bywają nieraz ciekawe, na swój sposób urozmaicone, bywają ambitne, ujawniają czasem indywidualne poglądy redaktora, co jest słuszne.

Czymże jednak jest „Pegaz" w dotychczasowym wydaniu? Jest to telewizyjny magazyn kulturalny, periodyk najczęściej i najchętniej informujący o warszawskich wydarzeniach teatralnych, o plastyce przeważnie warszawskiej, w jego ramach mieszcza się niekiedy rozmowy i wywiady z twórcami.

Mimo nawet najlepszej woli redaktora, a czemu nie mamy mu jej przypisać, „Pegaz" obraca się w kręgu zdecydowanie ograniczonym. Chodzi o informacje o życiu kulturalnym tzw. prowincji. Czy ona, gdy wychodzi z centralnego ośrodka przekazywania, a zwłaszcza redagowania, obejmuje całokształt wydarzeń i faktów, czy je jakoś obrazuje lub przynajmniej w najskromniejszym bodaj sensie uwzględnia?

Pytanie raczej retoryczne, nie wymagające odpowiedzi. A przecież z różnych powodów chcemy wiedzieć nie tylko o tym, co się wydarzyło lub wydarzy w stolicy.

I w TV słyszy się od czasu do czasu pochwały dla ważkich wydarzeń w życiu kulturalnym innych ośrodków polskich, pochwały te nie są jednak wsparte dokładniejszą informacją, materiałem dowodowym.

Ot, przez chwilę przyjrzyjmy się życiu w Łodzi: mamy godnych uwagi malarzy, karykaturzystów, miewamy dobre przedstawienia teatralne, ukazują się niekiedy książki zasługujące na ogólnopolską recenzję, chętnie usłyszelibyśmy łódzkich poetów, z przyjemnością odbylibyśmy wędrówkę między obrazami łódzkiego Muzeum Sztuki.

Streszczając się, o cóż to idzie: o „Pegaza" z Łodzi, o „Pegaza" z Krakowa, o „Pegaza" z Wrocławia... itd. Oczywiście, w ogólnopolskim wydaniu!

Sprawa jest bardzo ważna. Dotyczy szukania sprawiedliwych proporcji w informacji o polskim życiu kulturalnym. Warszawa i tak zajmie należne sobie miejsce. Nie ma mowy o tym, byśmy jej roli i miejsca nie doceniali.

Napisałem tych kilka uwag i słyszę czyjś tam stłumiony chichocik: znowu ten „zastarzały kompleks prowincji". Więc odpowiadam na chichocik: nie, to „kompleks stołeczny". Wielu bowiem ludziom ze stolicy wydaje się, że poza terenem ich działalności, poza otoczkami, w których pracują i przebywają, nie dzieje się nic wartościowego, nic godnego uwagi.

Bądźmy jednak sprawiedliwi, wolno przypuszczać, że z inicjatywą prowincjonalnych ośrodków TV również w tym względzie nie jest najlepiej! Proszę państwa, nadciąga rok 1967, rok realizacji postulatów Kongresu Kultury (którego wartość tylko w taki sposób może być uzasadniona), trzeba się zabrać do niektórych spraw bardziej energicznie!

* * *

Z okazji „Skowronka" J. Anouilha (ur. 1910) więcej chce się mówić o samym spektaklu, jako wydarzeniu teatralnym, niż o sztuce. Przedstawienie było wyjątkowo telewizyjne, kamery umiejętnie przekazywały to poszczególne sceny, to postacie dramatu. Trafne wyodrębnianie postaci, zbliżenia twarzy nie były w tym wypadku nadużywaną maniera. Z twarzy bowiem aktorów, z ich mimiki, z gestów odczytywało się zawartość psychiczna osób działających.

Co jakiś czas chciało się wołać: ach, patrzcie, patrzcie! Wykonawcami prowadzącymi byli Jadwiga Barańska, niezapomniana jako Elektra w sztuce O'Neilla „Żałoba przystoi Elektrze", również w reżyserii Jerzego Antczaka, i Ignacy Gogolewski w roli bez wolnego, ale inteligentnego delfina Karola. Ich gra niewątpliwie wzbogacała tekst.

A sama sztuka? Jeśli otrzymaliśmy tak znakomite przedstawienie, to i sztuce wiele zawdzięczamy. Jednak Jean Anouilh jest przede wszystkim pisarzem błyskotliwym, dowcipnym, efekciarskim i zgrabnym, mimo iż rzecz pod koniec się rozłazi. Może wymagała bardziej stanowczej interwencji adaptacyjnej. Anouilh to pisarz z rodzaju tych, którzy co jakiś czas zdają się przypominać: „Wiele potrafię, ale nie traktujcie mnie zbyt serio"...

Jest w utworach Duerrenmatta podobieństwo warsztatu. Ale Duerrenmatt boryka się ze szczególnie ważnymi problemami.

Dlaczego Joanna d'Arc tak frapuje twórców, występując w rozmaitych wersjach literackich? Chodzi może o uchwycenie fenomenu, jaki bywa punktem zwrotnym wydarzeń historycznych. Ów początek początku przełomów, coś, co się wymyka zimnym przewidywaniom polityków i kalkulacjom strategów. Powołajmy się na Sienkiewicza, bo to jego rok. On na przykład szukał tego fenomenu w obronie Częstochowy...

Teatr Niedzielny przedstawił Bohdana Drozdowskiego „Komedię z awansem", utwór mało skomplikowany, niezbyt skonstruowany, zakończenie łatwo przewidzieć, mimo to dobrze mieszczący się w ramach tego teatrzyku. Żart sceniczny zaleca się tylko próba pokazania konkretnych spraw, wysnucia wątków z potocznej rzeczywistości, można pochwalić kilka scen w pełni humorystycznych. Katowice podały „Komedię z awansem" w sposób całkowicie zadowalający.

Łódź w cyklu „Śpiewki stare ale jare" zaprezentowała tym razem piosenki jugosłowiańskie. Dobre tempo, stosowna scenografia i inscenizacja — oto zalety. Wykonawcami byli starzy znajomi tego cyklu, aktorzy z teatrów dramatycznych, więc wokalne możliwości niektórych należy traktować cokolwiek umownie. Reżyserował Janusz Rzeszewski.

Jan Huszczo

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Na jubileuszu 20-lecia organizacji kolporterów prasy — sprzedawców „Ruchu" jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, wspominano dawne czasy, pierwsze lata powojenne. Do pracy przystąpili wówczas przedwojenni gazeciarze i ich dzieci, zdemobilizowani żołnierze, byli więźniowie hitlerowscy. Marzli na mrozie, mokli na deszczu, ale byli kapitalistami, bo gazety kupowali za swoje pieniądze, tyle na ile było ich stać, by je potem sprzedawać. Dziś prawie 1.300 kolporterów „Ruchu" w Łodzi — monopolistów sprzedaży prasy, nie biega po ulicach, ma ciepłe wygodne kioski i sprzedaje również „artykuły pozaprasowe" (tak się to nazywa): 40 proc. pasty do zębów, 30 proc. mydeł toaletowych i kosmetyków, 50 proc. żyletek, papierosów i zapałek itd. sprzedawanych w całym kraju rozprowadzają kioski „Ruchu". Może to i dobrze? Czasem ktoś kupując „artykuł pozaprasowy" przy okazji skusi się i na coś do czytania. A o powadze handlowej kiosków niech świadczy fakt, że jedna z uczestniczek nie mogła przybyć na uroczystość, bo miała remanent.

PONIEDZIAŁEK

Zbliża się setna rocznica urodzin Władysława Reymonta, pisarza szczególnie związanego z Łodzią i Ziemią Łódzką. Toteż i w Łodzi i województwie czynione są przygotowania do uczczenia tej rocznicy. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi powołało do życia komitet organizacyjny obchodów reymontowskich, a w jego skład weszli m. in. przedstawiciele placówek i instytucji predestynowani do współuczestniczenia w organizacji i uświetnieniu obchodów. Na sali nie zauważyliśmy tylko przedstawiciela Wydawnictwa Łódzkiego, który wszedł tam wprawdzie, ale przez pomyłkę. A przecież Wydawnictwo Łódzkie w obchody reymontowskie włączyło się już znacznie wcześniej. Wydano już T. Papiera „Powtórna śmierć Boryny", a w przygotowaniu są aż trzy poświęcone twórczości i życiu pisarza: T. Papiera „Niezwykłe przypadki kawalera Rejmenta", oraz M. Warneńskiej i T. Goździkiewicza.

WTOREK

Sygnał o nadchodzących świętach daje Kraków. Jest nim tradycyjny konkurs szopek, kultywowany tam z jak najlepszymi rezultatami. My szopek nie robimy, a w przedświąteczną atmosferę wkraczamy w dniu imienin Mikołaja, kiedy to zaczyna się myśleć o prezentach, a kończy z tym dopiero w czasie świąt. Mikołaj został w tym roku wystawy sklepowe odświętnie przybrane, co zwiastuje coroczne zapowiedzi, że handel jest przygotowany na wszystko. Czasem się to nawet sprawdza. Z tegorocznych nowości: handlowy kompromis między tradycją, a hasłem „Szanuj las" w postaci choinek z tworzyw sztucznych. Praktyczne to, starcza na całe życie, nie łamie się i nie obsypuje. Nie wiadomo tylko jak reaguje na ogień, ale odpowiedź na to pytanie niewątpliwie przyniesie życie. Drugą nowością jest przedświąteczna obecność karpi w sklepach. Po podwyżce cen na ryby już opłaca się je hodować natomiast nie opłaca się kupować. Na święta się kupi.

ŚRODA

I jeśli już jesteśmy przy handlu to warto odnotować, że Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów ustanowił odznakę „Zasłużonego Pracownika Handlu", która będzie nadawana za wieloletnią ofiarną pracę w handlu uspołecznionym. Droga do zdobycia tej odznaki nie będzie więc łatwa i prosta. Zapewne wpłynie ona na zmniejszenie — jak się to fachowo nazywa — płynności kadr handlowych, a także na uprzejmość obsługi. Nie wpłynie natomiast na zaopatrzenie sklepów. Gdyby tak ustanowić jeszcze jakąś odznakę dla hurtowników i zaopatrzeniowców, sprzedawcy mieliby ułatwione zadanie. Mogliby mówić tylko: Służę uprzejmie żądanym numerkiem, zamiast: szalenie mi przykro, nie posiadamy, niech się łaskawa pani nie fatyguje, bo na panią nietypową figurkę przemysłek nie produkuje.

CZWARTEK

Zakończyły się II Warszawskie Spotkania Teatralne, w których uczestniczyły tylko cztery teatry (z Łodzi, Krakowa, Szczecina i Poznania). Teatr Nowy, reprezentujący Łódź już po raz drugi, powtórzył swój sukces z ubiegłego roku. „Sen srebrny Salomei" Słowackiego w reżyserii T. Minca i W. Zatorskiego zdobył wiele słów uznania ze strony krytyki i publiczności. Przedstawienie uznano za najlepsze na przeglądzie. Gdyby to było współzawodnictwo pracy lub sport, to przy pomyślnych okolicznościach w przyszłym roku Teatr Nowy otrzymałby puchar przechodni na stałe.

PIĄTEK

Po 10-miesięcznej przerwie w działalności wystawienniczej Muzeum Sztuki znów otwiera swe podwoje. W odnowionym, wyremontowanym gmachu (m. in. wymieniono wszystkie tynki, założono nowe bardziej funkcjonalne oświetlenie) znalazła miejsce ekspozycja usystematyzowana według nowej koncepcji — koncepcji stylistycznej, podporządkowanej jednak chronologii. Łódzkie Muzeum Sztuki jest jedynym tego rodzaju w kraju, posiadającym bogate zbiory sztuki nowoczesnej, a szczególnie sztuki abstrakcyjnej. W kierunku wzbogacania działu sztuki współczesnej pójdzie też dalszy rozwój ekspozycji. W tej chwili jednak sytuacja nie jest najlepsza, pieniądze na zakup dzieł są, brak już miejsca na ich eksponowanie. Dyrektor Muzeum mgr. R. Stanisławski, który od niedawna przebywa w Łodzi, ale stał się na punkcie Muzeum łodzianinem-patriotą, wierzy gorąco, że władze miejskie podzielają jego zdanie o potrzebie wybudowania nowego gmachu dla Muzeum. A jeśli wierzy człowiek o takiej inwencji i energii, o takiej sile argumentacji, wynikającej z wiedzy i entuzjazmu — to można przypuszczać, że zamierzenia będą przekute w czynów stal.

SOBOTA

Jakoś się zadomowiły w Łodzi przeglądy teatrów studenckich z całego kraju, przetrwały chaos organizacyjny pierwszego roku, osiągnęły pewną stateczność w drugim, by dojść do trzeciego, to znaczy tegorocznego. Który jeszcze nie wiadomo co przyniesie nam i światu. Państwo będą już to wiedzieli czytając niniejsze, ja natomiast nie wiem jeszcze pisząc. Z rzeczy pewnych mogę więc tylko powiedzieć, że najlepszy zespół dostanie nagrodę przechodnią „Boga deszczu", z rzeczy mniej pewnych — że wystąpi jedenaście teatrów studenckich pochodzenia krajowego i jeden zagraniczny — z Liege. A więc impreza nie tylko egzystuje, ale i rozrasta się ilościowo. Czy jakościowo — znów państwo będą wiedzieli czytając niniejsze, a ja pisząc nie wiem. Więc lepiej na tym skończę.

T. WOJ.

KONRAD TUROWSKI

Opowieść O PRAWDZIWEJ PRZYJAŹNI

Międzynarodowy ekspres z łoskotem wtaczał się na peron warszawskiego dworca. Zina napisała, że przyjedzie do Polski właśnie tym pociągiem. Jak ją jednak rozpoznać w przelewającym się tłumie pasażerów? Wtedy — w 45-tym, była prawie dziewczynką, miała siedemnaście lat, wojskowy mundur leżał na niej tak niezgrabnie...

Na spotkanie z Zina Anna przyjechała z mężem do Warszawy. Specjalnie założyła białą kurtkę, aby Zina mogła ją łatwiej spostrzec. Tak się umówiły listownie. Bo przecież i Anna nie jest dziś siedemnastoletnią panienką, jej syn poszedł w tym roku do wojska...

Obie kobiety, które nie widziały się dwadzieścia jeden lat, przeżywały chwile największego napięcia. — Co będzie, jeżeli nie poznam Ziny? — myślała Anna. Trzeba będzie zwrócić się o pomoc do kolejarzy, niech ogłoszą przez megafony...

Zina przygotowała się do wyjścia na długo przed Warszawą. Wyszła z przedziału na korytarz. Otworzyła okno. Do połowy wychylona próbowała dojrzeć na kiepsko oświetlonym peronie białą kurtkę Anny. Postacie migały jej przed oczami, pociąg zatrzymał się, a Anuszki — jak zwykła z rosyjska nazywać swą przyjaciółkę — nie było widać. Może nie mogła przyjechać? Jak ją teraz odnajdę? Jak trafię do niej do Łodzi? — gorączkowo rozważała wysiadając z bagażami. Szła wolno w kierunku wyjścia za innymi pasażerami. Nagle — oniemiała, ku niej biegła kobieta w białej kurtce! Nie miała już wątpliwości — to Anuszka! Z wrażenia wypuściła z rąk walizki. Kobiety padły sobie w ramiona. Ze wzruszenia nie mogły powiedzieć słowa. Łzy radości cisnęły się do oczu. Śmiały się i ściskały wzajemnie.

Dopiero po dłuższej chwili zapanowały nad sobą, przyjrzały się sobie badawczo. — Zina, tyś się prawie wcale nie zmieniła! — pierwsza odezwała się Anna. W odpowiedzi usłyszała to samo pod swoim adresem, tyle, że w języku rosyjskim. Podobnie jak przed 21 laty i teraz tłumacz był niepotrzebny. Obie kobiety mówiące do siebie różnymi językami świetnie się rozumiały. — A gdzie twój mąż? - zapytała Zina. Przyjaciółki dopiero teraz przypomniały sobie, że trzeba dokonać oficjalnej prezentacji i poznać męża Anny z Zina, którą dotychczas znał tylko z opowiadań.

Mężczyzna pomógł Zinie odnieść walizki do samochodu, którym przyjechał z żoną na spotkanie z jej przyjaciółką. Niebawem cała trójka jechała w kierunku Łodzi. Mąż Anny zdawał się być całkowicie pochłonięty prowadzeniem auta, zachowywał dyskretne milczenie i nie przeszkadzał przyjaciółkom w ożywionej rozmowie.

* ★ *

O spotkaniu Ziny i Anny być może nigdy byśmy się nie dowiedzieli. Przypadek chciał, że wśród stałych klientów kiosku „Ruchu" przy ul. Gagarina 23 jeden jest dziennikarzem. Kupującego tam pewnego dnia papierosy sprzedawczyni zagadnęła: — Proszę pana, chciałam dać podziękowanie do gazety. Jak to trzeba załatwić? Już dziennikarz miał odesłać kobietę do Biura Ogłoszeń, ale widać „reporterski nos" skłonił go do zapytania, komu to chce dziękować sympatyczna starsza pani ciesząca się wielką popularnością szczególnie wśród okolicznej dziatwy godzinami oglądającej u niej kolorowe pisma. — Ano chciałam — powiedziała — podziękować Czerwonemu Krzyżowi i harcerzom. Pomogli mi, to znaczy nie mnie, pomogli przyjaciółce mojej córki. Ona, to znaczy ta przyjaciółka — Zina, mieszka w Związku Radzieckim. Mieszkała u nas na kwaterze zaraz po wyzwoleniu, nazywaliśmy ją Zinoczka, nasza Zinoczka...

To już zaintrygowało reportera. Zaczął wypytywać o kolejność wydarzeń i wkrótce ustalił. Przed kilkoma miesiącami do Zarządu Łódzkiego Polskiego Czerwonego Krzyża nadszedł list następującej treści:

Drodzy Przyjaciele!

Gorąco was proszę o odszukanie mojej przyjaciółki i jej matki. Niestety, nie znam ani nazwiska ani adresu. Mam tylko fotografię Anuszki. Ofiarowała mi ją, gdy wyjeżdżałam z Łodzi na front. Może ta fotografia ułatwi wam poszukiwania — dlatego przesyłam wam ją. Jeżeli nie znajdziecie Anuszki, to koniecznie zwróćcie mi tę fotografię.

Pamiętam, że Anuszka i jej matka mieszkały w pobliżu lotniska. Do ich mieszkania przynieśli mnie dwaj koledzy, oficerowie Armii Czerwonej. Było to nazajutrz po wyzwoleniu waszego miasta spod hitlerowskiej okupacji. Byłam ciężko ranna w nogę. Anuszka i jej matka troskliwie i serdecznie się mną opiekowały jak tylko na to pozwalał trudny, wojenny czas. Matka Anuszki codziennie chodziła kilka kilometrów pieszo, aby przynosić mi potrzebne lekarstwa i opatrunki. To im zawdzięczam życie. To bardzo, bardzo dobrzy ludzie. Pomóżcie mi odszukać dziewczynę z fotografii i jej matkę..."

Na podstawie tak skąpych danych niełatwo jest kogoś odnaleźć w blisko milionowym mieście. Okolice lotniska na Lublinku bardzo się zmieniły, jedni ludzie wyprowadzili się, inni znów przyprowadzili, wyrosły też nowe bloki. Nic więc dziwnego, że PCK nie mógł spełnić prośby zawartej w liście. Nim jednak zdecydowano się na odesłanie fotografii, postanowiono spróbować nikłej — jak się wydawało — szansy. Zwrócono się mianowicie o pomoc do harcerzy.

Przez długie tygodnie list wraz z fotografią wędrował z jednej drużyny harcerskiej do drugiej, dziewczęta i chłopcy podawali go sobie z rąk do rąk, chodzili z nim od mieszkania do mieszkania, pokazywali rodzicom i znajomym. Wreszcie list mocno już wytarty tysiącami rąk trafił do drużyny harcerskiej przy Szkole Podstawowej nr 126 przy ul. Zuchów 4. Pewnego dnia wzięła go do domu uczennica klasy 7 b — Ewa Banach. Jej matka od razu rozpoznała, że na zdjęciu dołączonym do listu jest Anna Malczyk, która kiedyś mieszkała z rodzicami przy ul. Powiatowej 6.

Teraz już poszukiwania potoczyły się gładko. Harcerze szybko ustalili, że matka dziewczyny na zdjęciu — Kazimiera Malczyk jest właśnie sprzedawczynią w kiosku przy ul. Gagarina. Pani Kazimiera była bardzo zdziwiona, gdy dziewczynka w harcerskim mundurku pokazała jej niemal zapomniane zdjęcie córki sprzed 21 lat. Kiedy dowiedziała się, że fotografia przysłana została ze Związku Radzieckiego, natychmiast krzyknęła: — Zina! To na pewno od Zinoczki!...

Jeszcze tego samego wieczoru obie z córką usiadły w nowym mieszkaniu przy ul. Gagarina 15 i napisały list do Ziny Bielous, do Wilna. Połowę obszernego listu zajęło wyrażenie radości, że Zina odezwała się, że żyje i wyszła z wojny cało. Zaprosiły ją do siebie w odwiedziny.

* ★ *

Dziennikarz dowiadywał się codziennie coraz to nowych szczegółów dotyczących prawdziwej, serdecznej przyjaźni. Od „babci z kiosku" nasłuchał się wiele o Zinie, którą pokochano w polskiej rodzinie jak własną córkę. — Zinoczka — wspominała Kazimiera Malczyk — była w pułku lotniczym radiotelegrafistką. Została ciężko ranna w nogę w przeddzień wyzwolenia Łodzi. Hitlerowcy zbombardowali lotnisko polowe jej jednostki. Gdzie to było — już nie pamiętam. Zdaje się, że gdzieś w okolicach Zgierza. Jakże mieliśmy jej nie przyjąć do naszego domu? Izbę wprawdzie mieliśmy ciasną — cztery osoby mieszkały w jedynym pokoju, ale kiedy przyniesiono ranną dziewczynę, znalazło się dla niej trochę miejsca... Była u nas ze dwa miesiące. Wyjechała zupełnie niespodziewanie, nawet się z nią nie pożegnałam, akurat wtedy wyszłam do miasta. Gdy wróciłam, Zinoczki już nie było. Bardzo było mi przykro, bo pokochaliśmy ją. Wtedy jednak była wojna, rozumiałam, że Zinoczka musiała pójść na front. Wszelki ślad po niej jednak zaginął. Wspominaliśmy ją często. Wciąż słyszę jej głos: — Mamasza... — mówiła do mnie. Tak się cieszę, że odnalazła nas...

Nie minęły dwa miesiące, a załatwiono wszystkie niezbędne formalności i Zina Bielous przyjechała do Łodzi, do swoich przyjaciół. Zamieszkała znów u Anny, która po wyjściu za mąż nazywa się Błachitko. Pierwszego dnia pobytu w naszym mieście odwiedziła dom przy ul. Powiatowej 6. Izba, w której mieszkali państwo Malczykowie, stoi pusta. Nikt w niej nie mieszka. Zina pamiętała jednak, gdzie wtedy — w 45 roku, stało łóżko, szafa, piec... Z okna widziała te same drzewa w sadzie owocowym. — O, tu naprzeciw, była kantyna oficerska — wspominała — a tam dalej łaźnia naszego pułku. Nie było tylko garażu w podwórzu...

Później, Zina Bielous, która będąc żołnierzem Armii Czerwonej od pierwszych dni napaści hitlerowskiej na Związek Radziecki, aż do ostatecznego zwycięstwa brała udział w największych operacjach wojsk lotniczych, złożyła wizytę harcerzom w Szkole Podstawowej nr 126. Bohaterskiej lotniczce posiadającej sześć medali bojowych, m. in. za Warszawę, Pragę czeską i Berlin, druhna Ewa Banach w imieniu koleżanek i kolegów wręczyła harcerską chustę wraz z krzyżem harcerskim...

Później towarzyszyliśmy Zinie Bielous w wizycie na lotnisku Aeroklubu Łódzkiego na Lublinku. Akurat lądowała eskadra najlepszych pilotów łódzkich po wykonaniu kolejnego sportowego zadania. Wysiadających z maszyn pilotów koledzy witali wiązankami kwiatów. Kiedy jednak piloci dowiedzieli się kto jest ich gościem, natychmiast całe naręcza kwiatów ofiarowali swojej radzieckiej koleżance. Zaprosili też Zinę Bielous do ponownego odwiedzenia lotniska, aby przy sprzyjającej pogodzie mogła zobaczyć z lotu ptaka tętniące życiem i pracą miasto, o którego wolność walczyła.

* ★ *

Zina Bielous jest inwalidą wojennym. Dopiero w 1952 roku w Instytucie Medycznym w Leningradzie wyjęto jej z nogi odłamek hitlerowskiej bomby, która ciężko zraniła ją w okolicach Łodzi...

Lewym okiem

HISTORIE Z IGIEŁKĄ I SZKIEŁKIEM

Rzeczywistość płata nam nieraz najdziwniejsze niespodzianki. Zdawałoby się, że w tych rejonach i miejscowościach, gdzie istnieje wielki i średni przemysł, wsysający każde wolne ręce i oglądający się nieustannie za dalszym dopływem siły roboczej, gdzie więcej jest ludzi nieźle i dobrze zarabiających a za to mających mało czasu — większy też istnieje popyt na różnego rodzaju usługi, a tym samym silniejsze działają bodźce w kierunku uruchamiania i zagęszczania zakładów usługowych, w tym także prywatnych.

Otóż właśnie, że nie. Różne badania ankietowe wykazały, że nawet bez warsztatów rzemieślniczych znacznie łatwiej jest dorobić brakującą część do czegokolwiek, dogwintować kran, uszczelnić pompę, naprawić rower, dopasować klucz i zasuwę w okolicach, gdzie wszyscy jak jeden mąż pracują w przemyśle i często — dojeżdżając do pracy całe dziesiątki kilometrów — przebywają w domach ledwie późnym wieczorem i nocą. Czym to tłumaczyć? Polską specyfiką, jakby powiedział Mrożek. Oto pracownicy przemysłu przyjmują i wykonują — za godziwą, oczywiście, odpłatą — różne usługi „na fuchę"; właśnie w swej fabryce, w czasie zapłaconym przez państwo, przy użyciu państwowych narzędzi i kradzionych materiałów szlifują, lutują, gwintują i galwanizują. Jasne, że żaden rzemieślnik nie wytrzyma konkurencji ze specjalistą, który nie płaci podatków a materiały ma za darmo i przeważnie lepsze, niż te, które Wydział Przemysłu byłby w stanie zapewnić prywatnemu sektorowi.

Podobno usługi będą w najbliższych dziesięcioleciach jednym z najtrudniejszych problemów gospodarczych. Podobno — jak wykazała ankieta, przeprowadzona w wielkich ośrodkach miejskich Związku Radzieckiego — cały zysk czasu wolnego, wynikający ze skróconego dnia i tygodnia pracy, pożerany jest z nadwyżką przez niedostatki aparatu usługowego i zjawisko to wcale nie ma tendencji zanikających. Rzeczywiście, jest niedobrze.

A jeszcze tym jest gorzej, że oprócz istotnych trudności — że tak powiem — strukturalnych, natykamy się co chwila na głupstwa, proste głupstwa, które całą sprawę komplikują, żeby żyć nie było zbyt łatwo.

Nie ma na przykład w sprzedaży igieł do adapterów. Adaptery uparły się i bez igieł nie chcą grać, no a nie grający adapter nikomu nie jest potrzebny. Skąd wziąć igłę? Są w Zakładzie Usług Radiowych i Telewizyjnych (ZURiT), ale ten zakład nie sprzedaje, tylko świadczy usługi (dla ludności, jakby się kto pytał, ale nikt nie zapyta, bo nie jest aż takim durniem, żeby się nie domyślić). Więc bierze się pod pachę adapter, niesie do zakładu, tam pracownik fachowo i własnoręcznie wkręci igiełkę i już to jest usługa, a nie sprzedaż. Przepis został usatysfakcjonowany, a klienta bolą ręce i klnie, bo nie rozumie.

Jeśli chcesz przyszyć do palta kołnierz z byle królika, udającego fokę, skunksa, wydrę lub tchórza, nie próbuj szukać w sklepach futrzarskich. Może uda się w usługowym zakładzie Państwowego Przedsiębiorstwa Krawiecko - Kuśnierskiego (PPKK). Ale to jest zakład usługowy nie sklep. Więc jedyna rada: iść tam z paltem pod pachą, wpiszą, opiszą, wyznaczą termin i w trzy miesiące po terminie przyszyją. Jest usługa? Jest. A jednocześnie uniknięto śmiertelnego niebezpieczeństwa, że kołnierze ze sklepów wykupią prywatni kuśnierze, będą z nich szyć palta i zarabiać. Widocznie za jedno futro można wziąć cenę większą, niż za dwadzieścia kołnierzy, co — jeśli jest prawdą — jest błędem cennikowym, ale tego klient nie musi rozumieć.

Fotooptyka nie chce zmienić szkieł w okularach, żądając zakupu całej nowej oprawki. Dlaczego? Bo jeśli w robocie stara oprawka pęknie, to zakład odpowiada materialnie, a jeśli pęknie nowa — to odsyła ją z reklamacją do producenta. Śmiesznie proste, nie? Specyfika...

A człowiek chodzi w tym wszystkim jak skołowany, chodzi taki biedny, taki mały wobec miliona przepisów, gotów przepraszać wszystkich po kolei, że śmie im zawracać głowę igłą, kołnierzem i okularami...

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3481. XII. 66. E-2